

---

**HENRYK SKIRGAJŁO**

## **MOJE SYBERYJSKIE ZIELONE LATA**

### **Przed deportacją**

Urodziłem się 7 kwietnia 1935 roku w Augustowie w województwie białostockim, w rodzinie robotniczej. Ojciec mój Klemens był robotnikiem, pracownikiem w przemyśle leśnym. Pracował w dostarczaniu materiału drzewnego z puszczy augustowskiej do tartaków w Augustowie. Przed założeniem rodziny, jako żołnierz brał udział w wojnie Polski z bolszewikami w latach 1918-1920. Matka Władysława zajmowała się wychowywaniem pięciu synów. Ja byłem przedostatnim. Najstarszym był Witold, po nim Hipolit, następnie Szczepan, ja Henryk i o trzy lata ode mnie młodszy Apolinary. Mieszkała z nami babcia Katarzyna, matka mojego ojca. Wszyscy mieściliśmy się w dwuizbowym, drewnianym domu w osadzie, będącej południową częścią miasta, położoną między zalewem rzeki Netty, powstałym przez wybudowanie śluzy i jazu od północy osady, a od zachodu kanałem augustowskim, od wschodu kanałem bystrym. Od południa osadę oddzielała szosa grodzieńska, przebiegająca przez mosty na obu tych kanałach. Była to droga, prowadząca z Warszawy do Grodna. Dalej, na południe za tą drogą rozciągał się las, będący częścią puszczy. Za lasem rozciąga się jedno z większych jezior pojezierza, jezioro Sajno. Ten kompleks urbanistyczno przyrodniczy stanowi coś w rodzaju wyspy. Tej osadzie nadano nazwę dzielnica Bolesława Limanowskiego. Było w niej dużo zabudowań jednorodzinnych i różnej wielkości bezimiennych uliczek, zatem i numery domostw miały duże liczby. W Augustowie w okresie międzywojennym nie było rozbudowanej infrastruktury przemysłowej. Oprócz przemysłu drzewnego i rolnictwa na ubogich glebach po ostatnim zlodowaceniu przeważają piaski, żwiry, gliny itp. ubogie gleby. Do roku 1939 stacjonował tu 1-szy Pułk Ułanów Krechowieckich, który w życiu społeczeństwa odgrywał ważną rolę. W odległych o 30 km Suwałkach stacjonowała Brygada Kawalerii i inne rodzaje wojska.

Najstarszy brat Witold, po skończeniu szkoły powszechnej wstąpił jako młodociany do wojska w Suwałkach i służył w orkiestrze wojskowej. Do dnia deportacji mojej rodziny w czerwcu 1941 roku, mając sześć lat, niewiele zapamiętałem szczegółów z tego, co się działo po zajęciu po 17 września 1939 roku ziem Kresów Wschodnich, w tym i województwa białostockiego wraz z Augustowem. Ważniejsze wydarzenia jednak pozostały w mojej pamięci. Pamiętam niepokój u moich rodziców i w rodzinach sąsiadów. Widziałem żołnierzy armii czerwonej ze spiczastymi czapkami z czerwoną gwiazdą i długimi karabinami tu i ówdzie w grupach przemieszczających się w mieście i po ulicach naszej osady. Rozmowy starszych o objęciu urzędów w administracji i wymianach nauczycieli w szkołach. Rozmowy o tym, że wiele rodzin zabierają z domów i wywożą. Najbardziej utkwił mi w pamięci obraz ze zdarzenia w naszym domu, a było to tak, że na początku roku 1940, kiedy cała rodzina spała w pokoju, w kuchni na ławie dyżurował i sypiał jeden żołnierz radziecki, a drugi stał przed domem. Jako dziecko nie znałem wówczas przyczyny. Potem dowiedziałem się, że armia czerwona wychwytywała wszystkich żołnierzy bez względu na stopień wojskowy.

Brat Witold z kolegami po ucieczce z internowanego wojska we wrześniu 1939 roku ukrywał się po sąsiedzkich stodołach, oborach itp. miejscach. Zatem robiono zasadzki. W późniejszych latach mama opowiadała, że brat jeszcze w czerwcu 1940 roku, kiedy w ogrodzie ziemniaki już podrosły, nocą czołgając się w bruzdach, podczołgiwał się pod okno, pukając, a mama podawała chleb i inne produkty, nie bacząc na żołnierza śpiącego w kuchni. W czerwcu tegoż roku brat wraz z innymi kolegami został schwyty w jakimś ukryciu, aresztowany, skazany na więzienie, następnie osadzony w kolejnych obozach i dopiero po amnestii 1941 roku zwolniony. Na Syberii w Omsku pozostawał do wiosny 1946, skąd wrócił do Polski by spotkać się z pozostałą częścią rodziny, która bez ojca i babci także wróciła do ojczyzny.

### **Deportacja i transport**

O wcześniejszych deportacjach z augustowszczyzny dowiedziałem się dopiero w wieku dorosłym. Pierwszą przeprowadzono w lutym 1940 roku. Wywożono wówczas rodziny wojskowych, policjantów, leśników, niektórych urzędników administracji państwowej, rodzin osób wcześniej aresztowanych. Tragizm tego zdarzenia potęgowało to, że było z zaskoczenia, w środku zimy, przy mrozie poniżej – 30 stopni. Inne rodziny, w których był ktoś wcześniej aresztowany np. nauczyciele, lekarze, prawnicy również spodziewały się wywózki w każdej chwili. Wywiezionych w lutym w większości rozmieszczono na północy Rosji w obwodzie archangielskim i wykorzystywano do ciężkich prac przy wyrębie tajgi, a za mieszkania służyły im prymitywne baraki. Druga deportacja z augustowszczyzny odbyła się w kwietniu tegoż 1940 roku, kiedy to wywie-

ziono między innymi rodzinę wcześniej aresztowanego nauczyciela, działacza Związku Nauczycielstwa Polskiego, Hieronima Jonkajtysa. Wywieziono żonę z pięciorgiem dzieci, w tym i dziewięcioletniego Mariana. Dziś znanego, ale nieżyjącego już niestety autora Marszu Sybiraków i tomików wierszy z życia własnej rodziny i innych zesłańców w stepach Kazachstanu. Marsz ten stał się hymnem Związku Sybiraków.

Jak z powyższego wynika większość wywiezionych w kwietniowej deportacji rozmieszczono w stepach Kazachstanu. Inni mieszkańcy już w pełni zorganizowanej administracji radzieckiej, bo i dzielnicę Bolesława Limanowskiego nazwano Posiołkiem Stalina oczekiwali swojej kolejki, nie wiedząc na kogo wypadnie. Doczekali się dni 20, 21 czerwca 1941 roku, kiedy to z pośród setek rodzin znalazła się i moja rodzina wraz z kilkoma rodzinami z tego Posiołka imieniem Stalina. Aresztowania, deportacje i transport we wszystkich przypadkach odbywały się w podobny sposób. Do domów, z których przewidziano zabrać rodziny przychodziło: zwykle jeden oficer i dwóch żołnierzy, przedstawiano nakaz skazujący na wysiedlenie, robiono rewizję, polegającą na zabranii dokumentów, przeszperaniu we wszelkiego rodzaju szkatułkach, szafach, zabranii co kosztowniejszych rzeczy, wyznaczano termin załadunku na podstawiony transport. Tak było w przypadku mojej rodziny. Z tego co mi wiadomo, było to łagodniejsze potraktowanie w stosunku do deportacji przeprowadzanych w lutym i w kwietniu 1940 roku. W przypadku deportowania naszych rodzin, co już osobiście byłem obserwatorem, pozwolono zabrać, co było możliwe do spakowania w walizki, w skrzynki itp. bagaż podręczny. Po upływie wyznaczonego terminu załadunek pod strażą żołnierzy na podstawiony środek transportu. W przypadku naszej rodziny był to samochód ciężarowy, na który załadowano naszą rodzinę, a po drodze z tejże ulicy kolejne rodziny i dowieziono do wagonów towarowych na stację w Augustowie. Z innych miejscowości, w poprzednich deportacjach zimą do najbliższych stacji kolejowych dowożono saniami, wiosną furmankami i samochodami. Po prostu TERROR. Na stacji kolejowej kazano zajmować miejsca w wyznaczonym wagonie z zakratowanymi okienkami. Wewnątrz wagonu po obu stronach były drewniane prycze, na środku piecyk, za piecykiem w podłodze był otwór do załatwiania potrzeb fizjologicznych. Po zapełnieniu wagonu i rozlokowaniu na pryczach drzwi były ryglowane na zewnątrz i pilnowane przez żołnierzy NKWD czyli Ludowego Komisariatu Spraw Wewnętrznych.

Zdarzenie, które osobiście przeżyłem, nie będąc jeszcze obznajmionym co do czego w wagonie służy, zgłosiłem żołnierzowi, że chcę załatwić się. Pozwolił mi pójść za ułożone w słupek podkłady kolejowe, kucnąc, a on mnie pilnował z karabinem w ręku. Czy można czegoś takiego zapamiętać? Po załadowaniu kilkunastu wagonów, rodzinami przywiezionymi z miasta Augustowa i z okolicznych wsi, transport ruszył do Grodna. W Grodnie doczepiano następne wagony i dowożono okoliczną

ludność. Transport stał po zachodniej stronie rzeki Niemen. Było to już 21 lub 22 czerwca, kiedy w godzinach południowych nad pociąg nadleciał niemiecki samolot zwiadowczy, dokonując rozpoznania. Ludzie, w obawie przed ostrzeliwaniem wagonów przez kraty okien i szpary uchylonych drzwi lub częściowo otwartych, wystawiali białe szmaty, prześcieradła, chustki. Samolot odleciał, nie czyniąc szkody. Po pewnym czasie nadleciał samolot bombowy i w rejonie mostu zrzucił jedną czy dwie bomby. Bomby nie zniszczyły mostu całkowicie. Po tym zdarzeniu docepiono do transportu prawdopodobnie dwie lokomotywy i przetransportowano pociąg o składzie sześćdziesięciu załadowanych wagonów na wschodnią stronę rzeki. Nocą transport ruszył na wschód. W czasie jazdy widoczne były różnego rodzaju pojazdy drogami polnymi, szosami chaotycznie uciekających ludzi cywilnych i wojskowych, gdyż Grodno i dalej na wschód położone miasta były bombardowane. Zdradziecka napaść Niemiec hitlerowskich na swego sprzymierzeńca w podpisanej 23 sierpnia 1939 roku o rozbiórce Polski umowie między Niemcami i Rosją, doprowadziła do drugiej wojny światowej.

Z chwilą usłyszenia szumu nadlatujących samolotów, a nadlatywały w większych ugrupowaniach, ludzie w wagonach kryli się z wyższych przycz pod najniższe, przy samej podłodze, pozostawiając poduszki, pierzyny i inną grubszą pościel w nadziei, że choć trochę osłabią skutki uderzeń. Taki stan rzeczy, takie zachowanie trwało przez kolejne dni podróży na wschód. Ludzie byli tak zastraszeni, że na usłyszenie szumu nadlatujących samolotów każda matka ze swoimi dziećmi miała już swoje miejsce na najniższym poziomie wagonu. Często słychać było uderzenia pocisków po dachach i bokach wagonów, które uderzając pod kątem nie przebijały grubych desek i blach dachów. W niektórych wagonach jednak byli zabici i ranni. Czasami dochodziło do dłuższych postojów w polu, gdyż były uszkodzone tory. Po ich naprawieniu wieziono nas dalej na wschód. To, co działo się w wagonach, zachowanie się ludzi w strachu przed niechybną śmiercią, płacz dzieci i kobiet, bezradność mężczyzn, przy zamkniętych na zasuwę drzwiach wagonów, do tego atmosfera czerwcowych gorących dni i nocy, nie potrafi przelać na papier żaden świadek tamtych dni. Jedno, co zapamiętało sześćoiletnie wówczas dziecko, pozostanie mu w pamięci do końca życia.

Dziś wiem, że dalsza droga prowadziła przez kolejne większe miasta, takie, jak Mińsk, Smoleńsk, a po dojeździe i przymusowym postoju znów dantejskie sceny, będące skutkiem bombardowań i ostrzeliwań. Własnymi oczyma widziałem, a było to w dzień w Smoleńsku, jak z płonącego domu w pobliżu stacji kolejowej ludzie z wyższego piętra zrzucali pierzyny i poduszki i skakali przez okna na tę pościel, ratując się. W miarę oddalania się na wschód, naloty niemieckich samolotów słabły. Ludzie z dnia na dzień lepiej się poznawali i jednakowo znosili cierpienia i niewygody wagonowego życia. Na większych stacjach, na europejskiej części Rosji

spotykaliśmy pociągi, wiozące jeńców w wypełnionych wagonach, także z zakratowanymi oknami i silnie strzeżonych. Pamiętam jak ludzie z naszych wagonów i moi rodzice mając wypisane nazwiska oraz imiona swoich bliskich na kartkach, wystawiali przez okna te kartki i pytali, czy w ich wagonach nie ma takich osób. Tamci rozpytywali i kiwali głowami, że nie ma. Powtarzało się to w kilku miejscowościach. W innych miejscach, w pobliżu torów spotykaliśmy obozy pod gołym niebem, czasami z kilkoma barakami, w narożnikach strażnice z wartownikami, strzegącymi więźniów, którzy machali do nas rękami. Ludzie zadawali pytanie, skąd tyłu więźniów i za co oni w tych obozach osadzeni. Potęgowało się jeszcze większe zastraszenie i złorzeczenie na to, co nas czeka.

Ojciec Klemens Skirgajło, mama Władysława, babcia Katarzyna – matka ojca i syn pierworodny Witold (początek lat 20. XX wieku). Ze zbiorów autora.

Orientując się z położenia słońca ludzie wnioskowali, że kierunek jazdy wiedzie na południowy wschód. Ci, co znali się na geografii widzieli w tym dobry znak. Mówili, że gorzej by było, gdyby wieźli nas na północny wschód. Jechaliśmy na południe od Moskwy. Z mijanych więk-

szych miast, oprócz wcześniej wymienionych były takie jak się później dowiedziałem śledząc na mapie, jak: Miczurińsk, Penza, chyba Kujbyszew, a za Uralem – Czelabińsk, Pietropawłowsk, Omsk, Nowosybirsk, Tomsk, Aczińsk. Ostatnią stacją w tym kierunku była stacja ABAKAN. Nad wielką syberyjską rzeką Jenisiej i jej lewym dopływem rzeką Abakan w Krasnojarskim Kraju Chakaskiej Obłosti. Po sposobie traktowania nas w podróży, niektórzy starsi przewidywali, że wiozą nas na zatracenie. Jak się później okazało wiele się nie mylili. Czerwcowo - lipcowa pogoda, w dniu upalna, przy zamkniętych drzwiach i zakratowanych oknach wagonów, przy dużej liczbie ludzi w różnych wieku, bez dostatecznej ilości wody i pożywienia, braku jakichkolwiek warunków sanitarnych powodowała zaduch trudny do wytrzymania. Do tego dochodziło zniecierpliwienie przedłużającym się czasem podróży.

Mijały tygodnie, a końca podróży nie było widać. Według czasu na zegarku u tego, kto posiadał, powinno być dopiero południe, a okazuje się, że już ciemnieje i odwrotnie. Na niektórych stacjach nocą pociągi stały dłużej, ludzie śpią a tu nagle szarpnięcie pociągiem tak, że niektórzy spadali z prycz. W naszym wagonie w ciągu dnia zdarzyło się, że jeden z mężczyzn stojąc na skraju pryczy przy takim szarpnięciu przewrócił się na stojący piecyk i doznał złamań żeber. Z braku wody do picia, ludzie w godzinach południowych mdleli. Na każdym postoju wyciągali ręce do stojących przy torach miejscowych ludzi wołali: „towarysz, wody, wody!” Na niektórych stacjach, szczególnie w dalszej części podróży, pozwalano pod konwojem wychodzić z wiadrami po wodę pod pompy do napełniania parowozów i zaopatrywać się w wodę. Pomimo tego, że można było zabrać na drogę produktów żywnościowych, żywność ta się kończyła i dokuczał głód. Na większych stacjach pozwalano wychodzić po dwie osoby z wagonu z wiadrami pod konwojem do kuchni przydworcowych. Do wiader nalewano byle jakiej zupy, by choć skromnie zaspokoić głód. Niektóre odcinki drogi dłużyły się od jednej do drugiej stacji kolejowej. Monotonny stukot kół, od czasu do czasu gwizd, czasami ryk lokomotyw stawał się tak dokuczliwy, że niektórzy określali to słowami: „Diabeł wiezie swoją babkę”. Oprócz większych miast na których starsi wychodzili po wodę lub po zupę, potem opowiadali co widzieli, które to miejscowości można było nazwać miastem, resztę co obserwowano się po trasie było bardzo ubogie tak, jak i ludzie spotykani na tych stacyjkach. Jakieś osady, oddalone znacznie od siebie, z niektórych domostw kominy wystawały wprost z ziemi. Trudne do zniesienia były przejazdy przez kilkusetmetrowe tunele górskie w górach Uralu i dalej. Pociąg wjeżdżał w tunel, a dym z parowozu dostawał się do wnętrza wagonów. Było to wprost niemożliwe do wytrzymania. Przejeżdżając przez przełęcze górskie ludzie dziwili się wysokością ścian przełęczy i wysokością gór. Trzeba wiedzieć, że wielu ani morza ani gór w życiu nie widzieli, toteż i zdziwienie było wielkie.

W takich warunkach, po ponad trzytygodniowej podróży koleją dowieziono nas, jak się okazało na razie do ostatniej stacji kolejowej w kierunku południowo wschodnim Rosji do stacji Abakan w Krasnojarskim Kraju, największego miasta byłego państwa Chakasów, które stało się obłastią, czyli województwem Związku Radzieckiego. Tu kazano nam wyładować się i z bagażami przemieścić w rejon szkoły. Ludzie myśleli, że to koniec podróży, ale mylili się. Na razie skończyła się podróż pociągiem pod konwojem żołnierzy NKWD. Po przenocowaniu na swoich bagażach i ogarnięciu się po nocy, po obmyciu się ludzie zaczęli się spotykać, rozmawiać i rozważać nad tym, co dalej z nami będzie. Okazało się, że już od godzin rannych zaczęły podjeżdżać po nas różne podwozy; platformy traktorowe, furmanki o zaprzęgach konnych. Jak się dowiedziałem po latach w Polsce, że niektóre rodziny były rozwożone barkami po Jenisieju. Dziś obraz ten kojarzy mi się z losem murzynów z wieku XVIII i XIX, których chwymano w Afryce, a sprzedawano plantatorom w Ameryce. Nas nie sprzedawano. Nas przydzielano do poszczególnych przedsiębiorstw, kopalń, kolchozów, sowchozów i innych miejsc odosobnienia jako bezpłatną siłę roboczą.

### **Chakasja, ludzie, życie i praca**

Wieziono nas, kilka rodzin augustowiaków do miejsc przeznaczenia, w kierunku południowo zachodnim od Abakanu, furmankami po bezdrożach i drogach Chakasji znanych tylko tubylcom. Żeby trafić do celu, nie zabłądzić w dzień czy w nocy naprawdę trzeba być mieszkańcem tej krainy, trzeba być Chakasem. Cóż to za kraina ta Chakasja, coż to za ludzie ci Chakasi? Mieliliśmy możliwość poznać to wszystko przez najbliższe pięć lat. Studium geograficzno – historyczne tej krainy i ludzi w niej zamieszkujących pozwoliło mi bliżej poznać tego szlachetnego i przychylnego nam, Polakom narodu, z którym przyszło związać nasz los. Do lat dziewięćdziesiątych ubiegłego stulecia kraina ta była obwodem wchodzącym w skład Krasnojarskiego Kraju byłego Związku Radzieckiego. Obecnie republika Chakasja ze stolicą miastem Abakan. Położona jest w centralnej części kontynentu azjatyckiego, w Kotlinie Minusińskiej od nazwy miasta Minusińsk. Samo miasto Minusińsk nie leży w granicach Chakasji, leży na prawym brzegu rzeki granicznej Jenisieju. Na stosunkowo niewielkim obszarze, zaledwie 61,9 tyś. km<sup>2</sup> zalegają malownicze pod względem przyrodniczym kompleksy obejmujące ekosystemy od półpustyń, stepów, lasostepów, do wysokogórskich alpejskich łąk i tundr. Góry pokrywają 2/3 obszaru Chakasji. W części zachodniej Republiki rozciągają się góry Ałtaju Kuźnieckiego, którego szczyty osiągają 1700-2000 m.n.p.m. Najwyższy szczyt, góra Wysoki Ząb ma wysokość 2178 m. Południową część obramowują góry Sajanu Zachodniego, którego oś grzbietowa znajduje się na wysokości powyżej 2500 m.n.p.m. Nawet w środku lata widoczne są miejscami białe śniegowe czapy. Między górami

znajdują się obszerne kotliny z urodzajnymi glebami, dobrymi pastwiskami i sianokosnymi łąkami. W takich właśnie kotlinach zostały rozmieszczone owe gospodarstwa rolne Kołchozy i Sowchozy, do których były kierowane nasze rodziny. Ostry kontynentalny klimat z małośnieźną zimą i gorącym latem pozwala na zasiew różnych gatunków zbóż i upraw hodowlanych.

W stepowej części Chakasji, miejscami prawie półpustynnej znajduje się wiele luźno rozrzuconych jezior. Wśród nich szereg jezior słonych. Kotlinowe położenie Chakasji pozwala na zasilanie jezior wodą z otaczających gór. Płytkie słone jeziora są wynikiem dużego parowania wody z ich powierzchni co jest charakterystyczne dla klimatu kontynentalnego. Duża liczba rzek i jezior jest zasobna w wiele gatunków ryb. Największe rzeki to Jenisiej, Abakan, Czującym, Tom. 40% terytorium Chakasji pokryte jest lasem zwanym tajgą. Tajga od wielu wieków była karmicielką tak dla człowieka jak i wszelkiej fauny w niej żyjącej. Tajga obfituje w wiele gatunków roślin. Wśród roślinności kwiecistej szczególnie wyróżnia się w okresie wiosennym jaskrawy ognik zwany „żarok”. Kwiat ten stał się emblematem Chakasji. Wiosną łąka wygląda jak dywan utkany z czerwonej tkaniny. Tajgę zamieszkuje bogactwo wszelkiej zwierzyny, od niedźwiedzi poprzez łosie, jelenie, sobole, lisy, gronostaje, rysie, wilki, bobry, zające, wiewiórki, chomiki, susły oraz charakterystyczne małe pasiaste zwierzątko burunduk. Występuje mnóstwo węży, żmij i innych gadów oraz wielka różnorodność ptactwa. Do życia w warunkach tajgi przez wieki przystosowywali się ludzie tego obszaru. Wygląd, odzież, zakwaterowanie, sprzęt gospodarstwa, sprzęt rybacki, myśliwski, sposoby połowów i polowań, życie z koniem od dziecka i samoobrona w tych surowych warunkach przyrodniczych to cechy rdzennego Chakasa.

Przeszłość historyczna tego narodu jest również zadziwiająca. Naród ten przeżywał wzrosty i upadki. Ludność chakaska żyjąca na obszarach stepowych zajmowała się hodowlą zwierząt domowych, uprawą różnych gatunków zbóż. Żyli w gospodarstwach rodzinnych. Ludność zamieszkująca górskie rejony tajgi zajmowała się myślistwem i rybołówstwem. Zamieszkiwali w prymitywnych domostwach zwanych jurtami. W klimacie tego obszaru jurty w tajdze były budowane z drewna. Takie jurty już jako relikty spotykaliśmy po osiedleniu nas w tym terenie. Były to domostwa jednoizbowe o sześciu ścianach z bali drewnianych, łączonych na tzw. „jaskółczy ogon”. Bale były uszczelniane mchem. Jurty były bez okien. Miały drzwi wejściowe, dach ze ściętym stożkiem. Przez ten otwór wpadało światło, a z wnętrza wydostawał się dym z paleniska usytuowanego na środku izby. Podłoga to zwykle klepisko czasami pokryte skórą zwierząt. W ścianach były umieszczone drewniane kołki lub metalowe haki do zawieszania uprzęży końskich, strzelb myśliwskich, kozuchów itp. sprzętów. Rodziny myśliwskie budowały takie do-



mostwa po kilka obok siebie tworząc coś w rodzaju małej wioszczki zwanej aulem. Takie skupiska oddalone były od siebie zwykle nie więcej niż kilkanaście kilometrów. Żyjące w stepach rodziny pasterskie podobnie były rozmieszczane prowadząc gospodarkę hodowlaną bezzagrodową. W dalekiej przeszłości terytorium chakaskie było najeżdżane przez inne silniejsze plemiona azjatyckie. Dochodziło do wojen. Chakasi przez długie lata byli zawojowani przez Kirgizów. Przez przybywających w te strony obcokrajowców często byli nazywani Kirgizami. W czasach wielkiej ekspansji tureckiej na wschód, byli zawojowani przez Turków. Pod ich panowaniem znajdowali się około dziewięćdziesięciu lat.

Po rozpadzie Chanatu tureckiego w VI wieku pojawiła się możliwość usamodzielnienia się Chakasów i utworzenia samodzielnego państwa, którego największy rozwój nastąpił między VIII a XII wiekiem. Jako państwo feudalne rozwijało się przede wszystkim na gospodarce rolnohodowlanej, która z ekstensywnej rozwinęła się do gospodarki intensywnej. Wspecjalizowały się grupy Chakasów zajmujących się rzemiosłem. Rzemiosło oddzieliło się od rolnictwa. Powstawały osady rzemieślnicze, które z czasem zamieniły się na miasta. Zaczął rozwijać się handel wewnętrzny i zewnętrzny, własna kultura i piśmiennictwo. Chakasi zaczęli prowadzić handel z innymi krajami środkowej Azji, nawet z Chinami. W okresie między IX a X wiekiem doszło do największego rozwoju tego feudalnego państwa mającego od 1,5 do 2mln ludności. Pod koniec XII wieku zapoczątkowany proces feudalnego rozdrobnienia powodował osłabienie państwa chakaskiego, a w roku 1207 wielka armia mongolska zawładnęła Chakasją i spustoszyła młode państwo chakaskie. Znaczna część ludności została wysiedlona do Mongolii i Mandżurii i innych rejonów Azji. Państwo chakaskie przestało istnieć, a przesiedlana tu ludność innojęzyczna spowodowała znaczne mieszanie narodowościowe. Na początku XVIII wieku obszar Chakasji wszedł we władanie carskiej Rosji. Do już wymieszanego pod względem narodowościowym, językowym, kulturowym, rasowym, obyczajowym narodu zamieszkiwanego w Kotlinie Chakasko-Minuskiej do czasów carskich, dołączyli uciekinierzy chłopci pańszczyźniani szukający schronienia przed swoimi feudałami, zesłania okresu carskiego w ten rejon, a w czasie II wojny światowej zsyłki okresu stalinowskiego, w tej grupie setki rodzin polskich.

W takich warunkach geograficzno przyrodniczych i z taką przeszłością historyczną narodu chakaskiego mieliśmy spędzić jak się okazało najbliższe pięć lat. Tymczasem wiozą nas w nieznaną dla nas miejscą osiedlenia. Jest druga połowa lipca 1941 roku. Wtedy miałem siódmy rok życia, szczegółów z tego okresu nie sposób przypomnieć. Opisuję tylko to co zostanie mi w pamięci z tych lat prawdopodobnie do końca życia. Oddalając się od Abakanu nasz transport kołowy o zaprzęgach konnych kierując się na południowy zachód wjechał w obszar stepu. Dookoła pustka. Ziemia spalona słońcem, gdzie nigdzie niskie żółkłe trawy.

Droga, którą nas wiozą Chakasi to zwykły piaszczysty trakt to też i jazda jest monotonna. Konie idą powoli. Być może woźnicy wiedzą jaka jest odległość od jednego do drugiego postoju i wiedzą kiedy i gdzie będzie najbliższy odpoczynek koniom i ludziom. Nasi rodzice uznawali, że woźnicy nie oceniali odległości w kilometrach lecz według położenia słońca nad horyzontem, tzn. od najniższego rano, najwyższego w południe i znowu do najniższego wieczorem. Tak było rzeczywiście, mniej więcej w takich odcinkach czasowych dojeżdżaliśmy do miejsc zasiedlonych w stepie. Czasami były to prymitywne osady pasterskie, położone w pobliżu jeziora z bujniejszą roślinnością gdzie odbywał się wypas bydła w okresie letnim. Zatem i chaty były prymitywne, służące za schronienie dla rodzin pasterskich. Przy takich osadach woźnicy zatrzymywali konie pozwalając nam rozprostować członki a koniom na popas.

W takich warunkach rozpoczęły się nasze pierwsze kontakty z tubylczą ludnością. Byli to bądź rodowici Chakasi, bądź innego pochodzenia azjatyckiego zasymilowani z Chakasami. Ponieważ każdego z nas dręczyło pragnienie picia, każdy biegł w stronę wody by się napić, umyć, ochłodzić, a korzystając z ognia u pasterzy sporządzić posiłek. Zdarzało się, że takie pasterskie osady znajdowały się przy jezioru ale woda była ku naszemu zdziwieniu słona co wywoływało u tubylców śmiech kiedy widzieli nasze zdziwione oblicza. Wodę dla swoich potrzeb i pojenia bydła czerpali z prowizorycznych kopanych studni. Chętnie zapraszali nas do wnętrza swoich jurt (w tym przypadku z filcu), gdzie naszym oczom ukazywały się sprzęty gospodarstwa domowego najczęściej własnego wyrobu. Z drewna, kory, z łyka. Drewniane ładnie zdobione miski, łyżki, kubki, z kory pojemniki, z łyka kapcie. Części odzieży ze skór, a częściowo z tkanin. Uprząż dla koni ze sznurków, siodła ze skór, filcu itp. prymitywnych dostępnych w terenie materiałów. Często w kącie takiej izby stał skórzany worek napełniony kobyliim mlekiem zwanym kumysem, którym częstowano ciekawych przybyszów. Porozumiewano się przede wszystkim w języku rosyjskim, często na migi. Nasi rodzice odnosili wrażenie, że poza obszarem ich urodzenia i zamieszkania o innych krajach oprócz Rosji niewiele wiedzieli. Próbowali dowiedzieć się co my za jedni, skąd przybywamy, ale nasze zwierzenia niewiele im dawały. Nasz wygląd, ubrania, mowa i sposób bycia budził w nich zdziwienie i ciekawość.

Takich i większych osad spotykaliśmy więcej po kilkugodzinnej jeździe od jednego do drugiego postoju po tej stepowej „patelni”. Jadąc wciąż w kierunku południowo zachodnim w oddali widoczne były masywy górskie, do których powoli zbliżały się nasze wozy. W miarę upływu czasu naszej podróży krajobraz się zmieniał. Z typowo stepowego przechodził w lasostep, a dalej lasy podgórskie i góry pokryte bujnym drzewostanem. Droga wiodła wzdłuż podnóża gór widocznych z lewej strony. Mieszkając w Polsce na obszarze, gdzie w krajobrazie dominowały jeziora, rzeki i lasy góry te robiły na nas ogromne wrażenie. W niektórych miejscach były to

wysokie skaliste ściany, w innych ich wierzchołki ukazywały się jakby pojedyncze wieże w znacznych odstępach jedna od drugiej. Jeszcze w innych stały jakby posągi lub skalne maczugi. Całość tych cudów natury w większości pokryta była bujnym drzewostanem. Niektórzy, pomimo trudów podróży zdobyli się na dowcip mówiąc, że wiozą nas tam, gdzie „diabeł mówi dobranoc”. Z daleka, w tym ogromie górskim nie sposób było dopatrywać się obszernych kotlin, o płaskich dnach. Nikomu z naszych rodzin nie przychodziło do głowy, że takie twory natury wśród tych gór mogą się znajdować, a w nich mogą być rozmieszczone gospodarstwa rolne zwane kołchozami i sowchozami. Jak się okazało były to miejsca naszego osiedlenia. Do jednego z takich kołchozów dowieziono nasze augustowskie rodziny. Był to kołchoz o nazwie „Arges Stalin” w Askizkim Rejonie Chakaskiej Obłosti Krasnojarskiego Kraju.

W tym kołchozie osiedlono osiem rodzin deportowanych z Augustowa. Były to rodziny; Harasimów, Kotarskich, Kozucharów, Dmochowskich, Magierów, Godlewskich, Strzałkowskich oraz moja siedmioosobowa Skirgajłów. Był to kołchoz specjalizujący się w uprawie zbóż, czyli kołchoz „ziarnowod”. Miał on wygląd dobrze zorganizowanej wsi. Kołchoz to odpowiednik spółdzielni produkcyjnej w Polsce ludowej. Widocznie byłych gospodarzy indywidualnych zrzeszono w kołchoz i musieli produkować przede wszystkim dla państwa i na swoje utrzymanie. W tym kołchozie wszystkie domostwa były zamieszkałe przez tubylców toteż przyjęcie do zakwaterowania ośmiu wielodzietnych rodzin stanowiło poważny problem. Tymczasowo zakwaterowano nas tam gdzie to było możliwe. Ponieważ była to pora letnia mężczyźni i starsza młodzież za pomocą kołchozowych narzędzi takich jak piły, siekiery, strugi itp. spręcnie ciesielskim postanowili dobudować znanym swoim sposobem, na wzór tutejszy domostwa żeby móc mieszkać samodzielnie. Budulca w tajdze nie brakowało, szybko dogadali się z władzami kołchozu i rozpoczęli pracę przy przygotowywaniu materiału do budowy. Praca w kołchozie przebiegała na dwóch frontach tzn. w polu przy zbiorze zbóż i innych płodów rolnych oraz przy budowie domostw.

Z końcem lata i na początku jesieni dorastający chłopcy szykowali sobie ziemianki do zamieszkania zimą. Kołchoz zaopatrywał w podstawowe środki do życia, a był to dopiero rok 1941, jeszcze gospodarka państwowa nie była tak bardzo obciążona dostawami dla armii jak to miało miejsce w następnych latach. Jeszcze w tym czasie niedziele były wolne od pracy w tych działach, gdzie nie musiano pracować. Jak na większości obszaru Rosji radzieckiej tak i tutaj nie było czynnych kościołów ani kaplic więc mężczyźni uzbrajali się w pałki i szli w góry na spotkanie z gadami. Po powrocie chwalili się tym kto ile zabił żmij i węży. My dzieci bawiliśmy się szmacianą piłką lub organizowaliśmy inne zabawy. Pamiętam, że w dniach pracy kiedy rodzice i starsza młodzież szła do pracy dzieci były oddawane pod opiekę dorosłych. Otrzy-

mywały posiłek i pozostawały do czasu powrotu rodziców z pola. Po zbiorach pamiętam, że kierownictwo kolchozu dawało tzw. przydział poszczególnym rodzinom w zależności od wypracowanych dni. Był to przydział w zbożu, ziemniakach, naliczano mleko, mięso itp. dobra kolchozowe. Pamiętam, że przy jednej z zagród przy bramie stało kilka pni z pszczołami. Dosłownie pni. Były to ucięte na pewnej wysokości drzewa w których znajdowały się pszczoły dziko żyjące. Przejeżdżający wozak, który odbierał mleko od gospodarzy zawadził wystającą osiową drewnianych kół o jeden z pni i wywrócił go. Wylatujący rój z pnia obsiadł konia. Wozak uciekł. Od pożądeń pszczoł koń upadł i w krótkim czasie zdechł. Ludzie oganiając się kto czym mógł pozamykali się w domostwach i nie wychodzili do wieczora. Dopiero pod osłoną nocy uporano się z pszczołami.

Chociaż był to obwód chakaski, jak wiadomo z przyczyn historycznych zamieszkiwała różna narodowość, a władzę stanowili Rosjanie. Tak było i w tym kolchozie. Ciężkie prace polowe, nakładane duże normy, mała ilość rąk do pracy, prymitywny sprzęt rolniczy, brak nawyków do prac rolnych i trudne warunki mieszkaniowe spowodowały, że z początkiem zimy, kiedy dotarła wiadomość, że potrzebni są robotnicy do pracy w kopalni, niektóre rodziny w tym i moja zdecydowały się na wyjazd. Zima z roku 1941 na 1942 była śnieżna i mroźna. Przydzielono sanie zaprzężone w konie i ruszyliśmy w drogę. Tej karkołomnej podróży także nie sposób zapomnieć. Żeby dojechać do miejsca przeznaczenia w warunkach zimowych tak człowiek jak i koń tylko tak zżyty z przyrodą tego regionu geograficznego może dokonać. Nie drogi wiodły do celu bo ich nie było. Wszystko było równo zasypane śniegiem. Znana była tylko strona świata, wyczucie woźnicy i przystosowanie konia do poruszania się w takich warunkach. Sanie były niskie, rozłożyste. W miarę, na jedne sanie lokowała się jedna rodzina. Część członków jednej większej rodziny sadowiła się z rodziną mniejszą. Rozpoczęła się podróż łądem i wodą tzn. po śniegu, pod którym miała być droga i zamrożniętymi rzekami, których bieg był zgodny z kierunkiem jazdy. Jadąc łądem konie grzęzły w śniegu, to znów kiedy wydostawały się na bardziej twardy teren i przyspieszały biegu sanie trafiały na ukryty pod śniegiem pień lub głaz, przewracały się. Wszyscy z całym bagażem wysypywali się.

Innym razem to samo gdy koń i sanie wpadały w wypełniony śniegiem dół. Ile razy takie sceny powtarzały się w ciągu całej podróży nie sposób spamiętać. Lepiej się jechało gdy woźnica trafiał na rzekę której koryto było zgodne z kierunkiem jazdy. Po lodzie była łatwiejsza podróż. Dotarliśmy do rejonu kopalń. Prawdopodobnie były to kopalnie złota. Przyspieszone jego wydobycie miało służyć splotom za dostawę sprzętu wojennego. Kiedy wyładowaliśmy się z sań zziębnięci i przerażeni podróżą byliśmy zadowoleni, że dotarliśmy do celu. Po wejściu do baraku ujrzelśmy rozlokowanych na podłodze po kątach leżących, śpiących w różnym

wieku mężczyzn. Na środku pałacy się piec o długiej rurze rozgrzany do czerwoności, od której ciepło rozchodziło się po całej sali baraku z nieuszczelnymi oknami. Przy jednej ze ścian rozlokowały się nasze rodziny. Naprędce zagotowało się wodę do picia i rozgrzania, przygotowało się coś do jedzenia. Ponieważ było już późno wieczorem przespaliśmy się na tobołkach rozłożonych na podłodze. Rano mężczyźni zrobili rozeznanie. Okazało się, że owszem przyjmą do pracy ale tylko samych mężczyzn, bez rodzin gdyż kobiety i dzieci w kopalni nie są potrzebne i nie ma miejsc do zakwaterowania. Kierownictwo zdecydowało, że trzeba wracać ale nie do tego samego kołchozu lecz do pobliskiego sowchozu Sowchoz to odpowiednik PGR-u czyli państwowe gospodarstwo rolne. Po dwóch dniach pobytu w baraku przydzielono konie i zawieziono do bliżej położonego sowchozu o specjalności w hodowli bydła rogatego, „skotowodu”, jego filii czwartej farmy, w tym samym askizkim rejonie czyli powiecie.

Centrala tego kompleksu hodowlanego znajdowała się o kilkanaście kilometrów od miejsca naszego nowego osiedlenia trzech polskich rodzin. Oprócz naszej siedmioosobowej rodziny była rodzina ośmioosobowa Falickich i trzyosobowa, matka z córką i synem Organistów. Był to początek roku 1942. Początkowo zostaliśmy rozlokowani po różnych domach przy rodzinach tubylców, z których mężczyźni poszli na wojnę. W późniejszym okresie pobytu w tym sowchozie zamieszkaliśmy w jednym domu przy czym większa rodzina Falickich w jednej izbie, a nasze dwie rodziny razem w innej izbie tegoż domu. Inne farmy tego sowchozu były rozlokowane wokół centrali w odległości kilkunastu do kilkudziesięciu kilometrów. W centrali, jak i w jej pozostałych farmach było osiedlonych po kilka polskich rodzin z powiatu augustowskiego. O ile w krajobrazie kołchozu wokół wsi widoczne były pola uprawne o dużym areale, a góry pokryte tajgą widoczne były w oddali, w miejscu położenia tej farmy sowchozowej góry i lasy dość ciasno opasywały gospodarstwo. U podnóża gór nad rzeczką pobudowanych było kilkanaście drewnianych domostw z bali poprzetykanych mchem. Wewnątrz wprawdzie ściany i sufity były pobielane ale bez tynków. Widać było, że rejon ten został zagospodarowany niedawno, gdyż tu i ówdzie spotykane były jeszcze chakaskie jurty, jako relikty niedawnej przeszłości tego regionu. Były one wykorzystywane w porze letniej. Osiedlona tu mieszanina narodowościowa, przede wszystkim Chakasi, Białorusini, Ukraińcy, Rosjanie, nasze trzy polskie rodziny, jedna samotnie już mieszkająca Polka z zesłania okresu carskiego oraz jedno małżeństwo pochodzenia czerkieskiego. Cała liczebność ludzka tej farmy nie przekraczała czterdziestu do pięćdziesięciu osób. Mężczyźni i młodzież męska w wieku poborowym odeszła do wojska na wojnę z Niemcami. Do utrzymania dość licznego stada bydła rogatego w liczbie około trzystu sztuk i wszystkich prac z tym związanych, a także cieląt, przygotowania paszy, bydłu i koniom przeznaczonym do obsługi farmy pozostała siła robocza w osobach starszych, kobietach i

dzieciach, zamieszkujących w skrajnie urągających warunkach bytowych. Zimą Chakasi podobnie jak i inni osiedleńcy mieszkali w domach sowchozowych. W mieszkaniach oprócz pieców, w niektórych prowizorycznych prycz służących za łóżka, ław z niewygładzonych desek, innych mebli nie było. Spało się na tych łóżkach – pryczach lub bezpośrednio na podłodze na sienniku lub na wiązce rozłożonej słomy przykrytej jakąś derą lub kocem, u niektórych rodzin szczególnie chakaskich skórami pochodzącymi z polowań.

Mieszkający tutaj Chakasi zajmowali się myślistwem zanim władza radziecka nie zmieniła im zawodu. Domy mieszkalne były pobudowane wzdłuż piaszczystej drogi po jednej stronie, a po drugiej budynki gospodarskie szczytami ustawione do drogi. Były to kilkudziesięciometrowej długości obory. Rozmieszczone były w odległości kilkunastu metrów jedna od drugiej. Przestrzenie je dzielące były ogrodzone żerdziami. Od jesieni do wiosny przetrzymywano w nich bydło, konie i inny inwentarz żywy. Osobno starsze osobniki, osobno cielęta w tzw. cielętnikach. Mniejsze budowle służyły za chlewnię, magazyny na zapasy zimowe dla zwierząt i ludzi. Był też młyn wodny, piekarnia, sklep, kuźnia. W pobliżu rzeki znajdowała się łaźnia zwana banią. Było też pomieszczenie przeznaczone na świetlicę oraz budynek administracyjny w którym mieściła się kancelaria zwana kantorą. W pobliżu domów znajdowały się wychodki z wykopanymi dołami ogrodzone deskami. Nad całością życia i pracy tej niewielkiej wspólnoty i inwentarza żywego czuwały przysyłane z centrali osoby funkcyjne. Byli to: „predsjedaciel”, czyli przewodniczący farmy, „polewod” czyli brygadzysta, weterynarz, księgowy i obowiązkowo politruk. Była to zwykle pięcio- lub sześćoosobowa załoga. Co pewien czas z rejonu czyli z powiatu przyjeżdżały osobistości ze specjalnymi instrukcjami lub by przeprowadzić wywiad o nastrojach politycznych panujących w tym różnonarodowościowym środowisku. Na początku roku 1942 do pracy na farmie było więcej rąk zdolnych do pracy w tym znaczna ilość mężczyzn. W kolejnych miesiącach ubywało mężczyzn z powodu poboru do wojska i na wojnę. Pozostawali najstarsi mężczyźni, kobiety, młodzież i dzieci. Na nich spływał obowiązek wykonywania norm produkcyjnych.

Z miesiąca na miesiąc żyło się gorzej. Trzeba było sprostać wszystkim obowiązkom. Początkowo każda zdolna do pracy osoba miała przydzieloną funkcję. Były dojarki, pastusi, wozacy, koniusi, świniarze, oborowi i inne specjalności. Mój ojciec należał do grupy cieśli a mama była odpowiedzialna za hodowlę cieląt. Praca była ciężka, od świtu do nocy. Wykonywane normy były przeliczane na pieniądze, za które czasami można było coś kupić w sklepiku ale w następnych latach to przeliczanie nie miało żadnego znaczenia, gdyż nic nie można było kupić. Nie dostarczano żadnego towaru a chleb, na który nie raz trzeba było czekać po dwa, trzy dni otrzymywano w sklepiku według wykonywanej normy i w zależności od liczby osób w rodzinie. Zapisywano na papierku pobierano bez pieni-

dzy, za pracę. Początkowo dzienna norma chleba na pracującego wynosiła 600g, a na niepracujących 300g. Później po 500 do 300g na pracującego i 150g dla niepracujących. W końcowych latach naszego pobytu zdarzało się, że zimą trzeba było na ten przydział czekać po kilka dni przymierając głodem. Gospodarka radziecka charakteryzowała się specjalnością gospodarstw, a polegało to na tym, że jedne gospodarstwa produkowały np. zboża „ziarnowody”, inne hodowały bydło „skotowody”, jeszcze inne owce „owcowody” itd. Toteż następował przydział, wymiana. Jednym przysyłało się ziarno na chleb, innym mięso i przetwory mleczne itd. Najwięcej szło w głąb Rosji, do miast i na front, a ludność kolchozów i sowchozów musiała obejść się resztkami. Wszystko było pod ścisłą kontrolą władzy. Zawiadamiano z centrali, że przydzielono dla danej farmy zboże. Wysyłano sianie o zaprzęgu konnym po zaśnieżonych drogach. Przywożono worek pszenicy, worek lub dwa jęczmienia, żyta, tyleż owsa. Żeby upiec potrzebną ilość chleba wszystkie zboża zmielano razem na mąkę. Piekarz z młynarzem nie raczyli nawet przesiać tej mąki, żeby waga była wyższa, bo częściej zatrzymywali sobie i dla władzy.

Z takiej masy towarowej pieczono chleb. Chleb jeszcze w piecu a matka już w kolejce przed sklepem bo dzieci od kilku dni bez kawałka chleba. Kiedy chleb dostarczono do sklepu jeszcze ciepły, jeśli którejś rodzinie przypadł cały bochenek to kobieta mogła donieść do domu w całości wychładzając po drodze. Jeśli którejś wypadło, że trzeba było w sklepie przekroić wówczas w ręce pozostawała skóra a zawartość z wnętrza się wylewała. Po prostu poszczególne rodzaje mąki i to nieprzesianej nie stanowiły zwartej konsystencji. W domu bochenka chleba nie można było pokroić na cieńsze kromki tylko na grube kawały. Z tych pająd wystawały plewy jakby ktoś trzymał w ręku jeża. Jadło się łapczywie popijając przegotowaną wodą z przerębli rzeki lub roztopionego śniegu. Podobnie przedstawiała się sprawa z wszelkiego rodzaju zaopatrzeniem. Żle zakopcowane jesienią ziemniaki przemarzały w kopcach. Po rozkopcowaniu w środku zimy przydzielano zmarznęte w kilogramach w zależności od wielkości rodziny. Po rozmarznieniu w domu wyglądały jak kwacze, jak zmoczone niewyciśnięte ścierki. Trzeba było je ugotować i spróbować zjeść bo żołądek się domagał. Sytuację pogarszał brak soli. Pamiętam, jak pewnego razu po ugotowaniu takich ziemniaków, przy braku soli nie można było ich przełknąć. Po prostu chciało się wymiotować ale nie było czym. Mama znalazła jedną małą cebulę, którą pokroiła na drobno i włożyła do miski z przegotowaną wodą i wówczas popijając tę wodę z cebulką przełykało się ugotowane ziemniaki. Sztuki bydła lub trzody chlewnej zabierano żywcem do centrali. Pracownikom farmy nie wolno było przeznaczyć do podziału. Pewnej zimy wozacy wieźli siano przydzielone z innej farmy, dwoma saniami o zaprzęgach konnych. Konia z drugich saní woźnica przywiązał do pierwszych a sam przesiadł się na przednie prowadząc rozmowę z kolegą. Na pewnym odcinku droga wio-

dła po pochyłości zbrocza górzystego. Tylne sanie zsunęły się pociągając konia w przepaść. Koń zabił się. Jaka była radość z podzielonego wśród mieszkańców mięsa. Nam przypadło dwa kilogramy. Opiekaliśmy na płycie kuchennej, a mama dzieląc na drobne kawałki przechowywała na mrozie na kolejne dni. Z niedożywienia szerzyły się choroby, ludzie umierali. Podobny los spotykał zwierzęta hodowlane, bydło, konie. Zdarzało się, że każdego tygodnia zimową porą wywożono jedną lub dwie sztuki padłe z obory. Uznawane za chore nie nadawały się do spożycia. Wywożono je i wrzucano do wąwozu w górach na pożarcie wilkom, które nocą podchodziły pod same domostwa.

Z takich okazji korzystali Chakasi. Zabierali polana drew, szli do wąwozu, rozpalali ognisko, wycinali najlepsze części i ucztowali. Wierzyli, że padłe zwierzęta są wartościowsze od zabitych przez człowieka. Takie sceny z życia zwierząt i ludzi powtarzały się każdej zimy. Opisując powyższe wybiegłem nieco do przodu. Tymczasem nadeszła wiosna 1942 roku. Nasze rodziny zastanawiały się jak nam przyjdzie przeżyć następne pory tego roku i być może następnych lat. Ile ich będzie? Te trudne warunki życia skromnej sowchozowej społeczności powodowały, że stawała się ona jedną wielką rodziną. Nasze polskie rodziny co prawda na początku się wyróżniały. Pochodziliśmy z Zachodu, byliśmy lepiej ubrani i jeszcze mieliśmy coś z tego co przywieźliśmy w podręcznym bagażu. Kusilo to tubylców, a przede wszystkim chakaskie kobiety. Pamiętam jak na widok jakiegokolwiek części damskiej odzieży, sukienki, spódnicy, bluzki czy chusty w kwiaty czy groszki jak im te skośne oczy i płaskie twarze uśmiechały. Przychodziły, oglądały i prosiły żeby im sprzedać. Mówiły w języku rosyjskim „chazajka prodajcie, skolko wiedziorok kartoszki za etu jubku chotitie?”. Po polsku to: „gospodyni sprzedajcie, ile wiaderek kartofli za tę spódnicę chcecie?”. Gotowe były oddać ostatnie kartofle za część damskiej garderoby żeby wyglądać po europejsku. Dzieliliśmy się z nimi tym co mieliśmy. Zawiazywały się przyjaźnie. Widząc taki stan rzeczy odpowiedni „funkcyjni” musieli przekazać to do centrali. Z centrali przyjechali przedstawiciele władzy. Zebrali miejscową ludność w świetlicy i uświadamiali ich, ostrzegali przed kumaniem się z Polakami, tłumacząc im, że jesteśmy burżujami i odwiecznymi wrogami ich ojczyzny. Te ich wywody nie przyniosły pożądanego skutku. W następnych latach staliśmy się takimi samymi nędzarami jak tubylcy z tą tylko różnicą, że oni byli bardziej zżyci z przyrodą i łatwiej im było wydrzeć przyrodnicze środki do życia. Myśmy się dopiero od nich uczyli.

Jednym z przykładów niech będzie fakt, kiedy jeszcze przejściowo mieszkaliśmy osobno w chacie na skraju sowchozu, w środku mroźnej zimy, w południe do chaty zbliżyła się chakaska kobieta. Lat może około czterdziestu, niedużego wzrostu o czarnych, długich włosach zaplecionych w kilka cienkie warkocze zakończone wplecionymi carskimi mone-



tami. Miała na sobie kozuch w ładne wzory i o dość dużym dekolcie co uwydatniało śniade ciało. Uzbrojona była w strzelbę myśliwską przewieszoną przez plecy, w ręku długi drążek zakończony metalowym grotem. Na nogach miała buty uszyte ze skóry zwierzęcia sierścią do środka po chakasku nazywane „sagiry”. Miała krótkie, szerokie narty podbite skórą kozicy, sierścią skierowaną do tyłu. Pozwalało to gładko zjeżdżać z góry i ułatwiało podchodzenie pod górę bez kijów. Na długich linkach ciągnęła za sobą sanki. Przed chatą zdjęła cały ten ekwipunek. Po wejściu do wnętrza pozdrowiła nas i poprosiła o „kipiatok”, czyli gorącą wodę do napicia się. O herbatę nikt nie pytał bo jej nie było. Zdumiał nas taki strój w środku zimy, a jeszcze bardziej ten ekwipunek. Na pytanie dokąd i po co zmierza odpowiedziała wprost „w tajgu na niedzwiedzia”. Na pytanie po co ten drążek zakończony grotem odrzekła „gdybym strzałem zraniła niedzwiedzia i nie zdążyła przeładować strzelby wówczas tym grotem musiałabym go dobić”.

Takich i podobnych przykładów borykania się człowieka z przyrodą przeżyliśmy wiele i sami musieliśmy się nauczyć by przeżyć następnych kilka zim. Od samego początku zamieszkania w tym rejonie zauważyliśmy, że mieszkańcy całymi dniami coś żują. Okazało się, że w tym bogatym drzewostanie porastającym góry jest dużo modrzewia. Wypreparowana z wnek po sękach żywica, oczyszczona i rozgrzana w jamie ustnej staje się miękka i elastyczna, upodabnia się do gumy. Takie przeżuwanie i uelastycznianie pozwala rozciągnąć ją na kilkanaście centymetrów od jamy ustnej. Żującemu daje fizjologiczne zadowolenie, oczyszcza zęby, pobudza ślinotok itp. Wypreparowywanie żywicy z kory przy pomocy pary w naczyniu dokonywano na większą skalę. Formowano na kształt kostek czekoladowych i handlowano w stepie, gdzie brakowało drzewostanu. W klimacie tego azjatyckiego regionu dość szybko następują po sobie pory roku. Z początkiem wiosny, kiedy słońce pozornie zaczyna podnosić się ponad góry, oświetlać i ogrzewać ich zbocza, wzrastająca temperatura powietrza powoduje szybkie topnienie śniegu i spływ wody do górskich potoków. Te do niżej położonych rzeczek. One przekazują wodę do rzeki Askiz, ta do rzeki Abakan, a ta do rzeki matki wielkiego Jenisiej. Szybko odślaniają się zbocza górskie i ożywia roślinność. Wśród tej najwcześniejszej roślinności tubylcy znajdują roślinkę o białym kwiatuszku, a w ziemi bulwę nieco większą od grochu. Nazywają ją „chlebinką”. Wykopują jakimkolwiek ostrym narzędziem z tej skalistej gleby, oddzielają od łodyżki, oczyszczają i zjadają na surowo. Jest to pierwszy poczęstunek wiosny.

W następnych tygodniach wiosny i latem oraz jesienią przyroda staje się gościnniejsza i umożliwia korzystanie z jej bogatych dóbr. W końcu kwietnia i w maju rośnie kandyk. Ma wyższą, kilkunastocentymetrową łodyżkę, a w glebie bulwę długości palca dorosłego człowieka. Zjada się ją na surowo, pieczoną w ogniu bądź gotowaną. Później, w le-

cie i jesienią, powszechnie występującą na łąkach rośliną o wysokiej, ładnie kwitnącej łodyżce i dość dużej bulwie w glebie jest saranka. Można ją spożywać na surowo, ale lepiej gotowaną. Wiosna obfituje też na podmokłych terenach w szereg innych roślin jadalnych. Wśród nich czeremcha, często zwana czosnkiem niedźwiedzim, przypominająca por. Łodyżki ucina się przy ziemi i jako chrupiące soczyste zjada. Wiązane w pęczki, występuje jako towar handlowy. Występuje szereg innych roślin jadalnych, takich, jak slizun, puczka i inne. Osobną rośliną spożywaną, rosnącą dziko jest czeremcha syberyjska. Jest to wysoko rosnący krzew w wilgotnej, wiosenno letniej glebie. Po przekwitnieniu daje owoce nieco większe od owocu porzeczki. Tymi owocami zajadaliśmy się do syta. Można je było suszyć, a zimą zemleć na mąkę i piec placki.

Wielką przyjemnością i pożytkiem było zrywanie z drzew cedrowych szyszek z orzechami. Rosły rozłożyste drzewa u podnóża gór, o długich, kiściastych igłach. Wśród nich szyszki wypełnione orzeszkami. Właziliśmy na te drzewa, napełnialiśmy torby szyszkami. Przynosząc w pobliże domostw, wkładając w żar rozpalonego ognista, łuski się rozchylały, umożliwiając wydobycie orzechów. Zjadało się na bieżąco i robiło zapasy na zimę. Można by wymieniać szereg innych roślin wyszukiwanych szczególnie jesienią, kiedy jeszcze nie było śniegu, a głód zmuszał do szukania wszelkiego pożywienia. Innym, obfitym darem przyrody były ryby potoków i rzeczek górskich. Łowiona na prymitywną wędkę ryba, zwana charjuz, odpowiednik lipienia, smażona na patelni, początkowo w małej ilości wody, szybko oddawała swój tłuszcz, w którym się dosmażała. Tubylcy wszelką rybę łowili w potokach górskich przy pomocy zmyślnie uplatanych z wikliny wężerzy, zwanych mordami. Były to wyplatane na kształt długiego worka zwężonego w tylnej części aż do zawiązania końców wikliny. W przedniej części wlot był zrobiony z grubych wręgów, do których ten niby worek był mocowany. Wewnątrz znajdował się mniejszy z wlotem, czyli mały w dużym. Potok się przegradzało wikliną, zostawiając wolne miejsce do wstawienia tego urządzenia otworem w dół potoku. Ryby przemieszczając się pod prąd wody napotykały na przegrodę, a szukając przepływu, trafiały do tego urządzenia, z którego nie mogły się wydostać. Takie urządzenie wstawiało się wieczorem, a rano wyjmowało, rozwiązywało się w tylnej części, ryby wysypywało do pojemnika. Często, szczególnie podczas tarła danego gatunku były obfite połowy. Wiosna i lato w tajdze dostarczały oprócz roślin jadalnych, różnych grzybów, jagód, również jaj ptasich i piskląt, po które sięgało się do dziupli i gniazd w pniach drzew. Zwierzyna leśna i ptactwo było domeną myśliwych. W tej dziedzinie żyjący w rejonie tajgi Chakasi specjalizowali się od wieków. Za skóry i mięso upolowanych zwierząt otrzymywali broń myśliwską, proch, śrut, kule. Z otrzymywanego ołowiu niektóre materiały wyrabiali sami. Na niektóre gatunki zwierząt, m.in. jelenie, sarny, sprytnie urządzali zasadzki. Polegało to na tym, że w pobli-

zu zagajników robili wysokie ogrodzenia z gęstego płotu, zostawiając otwarte wejście. Wewnątrz w ziemi robili dołki i wypełniali solą przeznaczoną dla bydła. Zwierzęta wchodziły do tego ogrodzenia zwabione zapachem i smakiem soli, a w pobliżu czatujący myśliwi zbliżali się do wejścia w ogrodzeniu i dokonywali odstrzału znajdujące się tam osobniki. Dla zaspokojenia podstawowych potrzeb życiowych ludność tubylcza miała się różnych sposobów, by jak najwięcej wydrzeć z przyrody, dzięki czemu łatwiej było przetrwać, a nieraz uratować życie własne i bliźnich.

Ta farma sowchozowa oprócz stałej bazy gospodarczej miała odległy około 10 km rejon letniego wypasu i gospodarowania. Położony był w wydłużonej dolinie o płaskim dnie, gdzie w najniższym położeniu płynęła rzeka, mające swoje źródła w górach. Po obu stronach rozległej doliny znajdowały się łąki i pola uprawne. Łąki wykorzystywano do zbioru siana i przygotowywano z zielonych traw silosy na zimę dla bydła. Za tymi obszarami znajdowała się tajga. W niej odbywał się wypas bydła. W oddali po obu stronach doliny rozciągały się pasma wysokich gór z wyraźnie zaznaczającymi się stromymi zboczami i wierzchołkami. Wysoko w kotłach nawet w lipcu i sierpniu zalegał ziarnisty śnieg. Dla obsługi inwentarza żywego pobudowano odpowiednie zagrody, szopy, cieleńniki, mleczarnie i kilka prowizorycznych domków dla pracowników. Nie wszyscy pracownicy mogli w tych domkach się pomieścić. Wielu musiało koczować na strychach cieleńników, w szopach. Miejscem zaspokajania potrzeb higienicznych była rzeczka ze swoją górską, zimną wodą. Ponieważ na wypas wypędzano wszystek żywy inwentarz, toteż zmuszona była wybyć cała obsługująca załoga. Do uprawy pól i zbiorów z łąk każdy, kto był zdolny do jakiegokolwiek pracy, w tym starcy i dzieci. Na miejscu pozostawali tylko chorzy i niedołęźni.

Przy pracach polowych, zasiewach, sadzeniu ziemniaków, koszeniu łąk, przygotowywaniu siana i silosów itp. organizowano tzw. brygady polowe. Ludzie w tych brygadach, podobnie jak i przy obsłudze inwentarza żywego pozostawali poza domem przez cały sezon. Do domów zaglądali czasami, aby obsłużyć pozostawionych chorych i niedołęźnych. W sezonie letnim, żeby obsłużyć tak wielkie stado i wykonać pozostałe prace tych kilkudziesięciu rodzin większości osób starszych, kobiet i dzieci nie wystarczało. Wszyscy pracowali od wczesnych godzin rannych do nocy. Wielu nawet w nocy. Każdy pracował przy wszystkim, żeby przygotować zapasy na zimę. Udój krów odbywał się trzy razy dziennie. Rano, w południe i wieczorem. Po rannym udoju pastusi na koniach pędzili bydło w tajgę na soczyste trawy, w południe przypędzali do zagród w pobliże domków i zlewni mleka na udój południowy i znowu na wypas. Po czym na udój wieczorny, a po wieczornym na wypas nocny. Zdarzało się często, że nocą wilki dopadały stado i zagryzały sztukę lub w wyniku interwencji pastucha, tylko okaleczały. Przypędzone stado na ranny udój miało kilka, przynajmniej jedną sztukę okaleczoną. Wetery-

narz miał pełne ręce roboty. Przy cielętach nocujących w zagrodach, na narożnikach zagród całe noce paliły się ogniska, a osoby odpowiedzialne, w tym moja mama lub starsi bracia co jakiś czas dokładali przygotowane za dnia bierwiona, żeby ogień nie wygasł do rana. Ognie nie pozwalały wilkom zbliżyć się do cieląt.

Pamiętam, jak pewnej nocy, kiedy pod podłogą domku, w którym na podłodze i na stryszku nocowało kilkanaście osób, w tym ja z mamą, gnieździła się sowchozowa świnia z prosiętami, przed północą usłyszeliśmy przeraźliwy kwik prosięcia. Kiedy rozespani ludzie wybiegli, ujrzeli uciekającą wilczycę z prosięciem na grzbiecie. Po raz drugi po północy obudził nas kwik prosięcia. Po raz trzeci nad ranem to samo. Kiedy pastuch przygonił bydło na poranny udój, powiedział, że widząc biegnącą wilczycę z prosięciem, zajechał jej drogę. Wilczyca skręciła w stronę rzeczki, przepłynęła na drugi brzeg i zbiegła do lasu, nie porzucając zdobyczy. Tej feralnej nocy farma straciła trzy prosięcia. Szkody w stadzie była zdarzały się każdego lata.

Mleko z udojów dostarczane do zlewni w większej masie było przerabiane, to znaczy przepuszczane przez urządzenie zwane centrifugą, gdzie oddzielano od mleka śmietanę. Śmietanę i część mleka w bańkach w latach 1944-1945 odwoził do centrali, czyli głównego sowchozu, pod który podlegała nasza farma numer 4 mój trzynastoletni brat Szczepan. Wyjeżdżał furmanką rano, a wracał wieczorem. Pozostałą część mleka i mleko przerobione przeznaczano do karmienia cieląt, którymi opiekowała się nasza mama. W tym czasie można było potajemnie skorzystać dla siebie. Kiedy mama z racji zatrudnienia musiała przebywać w rejonie letniego wypasu, ojciec i starszy brat Hipolit pracowali w brygadzie polowej. Ja z młodszym bratem Apolinarem przebywaliśmy z mamą, pomagając przy wypasie cieląt, a brat Szczepan, zanim skończył trzynaście lat pozostawał z chorą babcią w domu. Czasami tylko kontaktował się z nami. Zdarzało się, że obaj czasami pokonywaliśmy tę drogę łączącą farmę z miejscem letniego wypasu. Podziwialiśmy uroki tego olbrzymiego wąwozu, a czasami mieliśmy nieprzyjemne przygody. W godzinach rannych żmije, węże i inne gady pełzające, mające swoje kryjówki w górach, zdążyły ku rzece, a w godzinach popołudniowych wracały do swoich legowisk w góry. Przepelzając przez drogę, czasami w kilku miejscach i po kilka osobników, napędzały nam stracha. Mając ze sobą kije lub inne narzędzia, ubijaliśmy co niektóre i przynosiliśmy do domków demonstrując naszą odwagę. Przebywając w lecie u mamy podobnie jak inne dzieci, czasami pomagałem przy pilnowaniu pasących się cieląt, ich zaganianiu na noc do zagród i liczeniu, a także w poszukiwaniu zaginionych wśród gęstych wysokich traw. Nieraz trzeba było wejść na wysoki pień, żeby wśród traw dojrzeć grzbiety cieląt.

Pamiętam, jak ogarniała mamę rozpacz, kiedy ujrziała w trawie cielę wzdęte i zdychające z powodu zjedzenia nieodpowiedniej rośliny. Nie

pomagały interwencje weterynarza. Trzeba było sporządzać protokół i porządnie się tłumaczyć z niedopilnowania zwierzęcia. Takie przypadki zdarzały się często, szczególnie na początku sezonu letniego, kiedy zgłodniałe zwierzęta zanadto objadały się soczystą zieleniną. Nam chłopcom były i przyjemne chwile. Bywało, że kilka razy w tygodniu na osiodłanych koniach do rejonu letniego wypasu przyjeżdżała dwu lub trzy osobowa władza. Oddawali nam konie żeby pojechać do wodopoju napić lub wykapać konie. Wówczas, mając już osiem czy dziewięć lat, dosiadaliśmy i urządzaliśmy popisy umiejętności jazdy konnej. Były i takie momenty, kiedy i dzieci musiały pracować. Mając osiem, dziewięć lat wraz z innymi rówieśnikami, najczęściej z Chakasami pracowałem na koniu przy zwózce siana do stogów.

Praca polegała na tym, że dosiadaliśmy konie bez siodła. Siedziało się na luźno położonym na grzbiet konia kawałku filcu. Do orczyka doczepiano rozłożystą gałąź, podjeżdżało się do kopek siana, które kobiety drewnianymi widłami nakładały na tę gałąź, zwaną wołokuszą i wiozło się do miejsca formowania stogu. Przy stogu zawracało się konia, gałąź się przewracała, siano zostawało. Jechało się po następną porcję. Osoby starsze układały stóg. Zdarzało się, że starsi, lepiej zaprawieni w jeździe konnej, szybciej pogonili swoje konie, to i mój pobiegł szybciej. Luźny filc zsunął się z konia razem ze mną, a wołokusza przeleciała przez plecy. Wtedy nie było to do śmiechu. Te i podobne prace wykonywali ludzie zatrudnieni przy obsłudze inwentarza żywego, a mający czas jak dojarki między jednym a drugim udojem i inni pracownicy. Natomiast brygada polowa wykonywała prace w innym, odległym miejscu w tej szeroko dolinnej rynnicy, usytuowanej wzdłuż rzeki między górami. Pozostawali w swoim miejscu pracy przez cały sezon bez kontaktów z domem. Tam gotowano posiłki składające się najczęściej z kasz, nie zawsze zbożowych. Często były to kasze z ziaren jakichś dziko rosnących traw. Inne „pochlopki” czy „burlagi” z buraków, kapusty i przydziały chleba według norm. Jadło się to wszystko żeby żyć, ale nie wystarczało sił, żeby podołać narzuconym normom prac. W tamtym czasie, nie mając pojęcia o ekonomice nie zastanawiałem się nad tym, dziś zadaję sobie pytanie: dlaczego stogi siana i silosy sporządzano tak daleko od bazy zimowej, gdzie zwierzęta umieszczano na zimę? Czy nie lepiej było latem dowieźć siano i trawę do farmy i w pobliżu umieścić owe stogi i silosy? Żeby zimą nakarmić inwentarz żywy rankiem wysyłano najczęściej dwóch pracowników, starszych wiekiem Chakasów na saniach zaprzężonych w byki z kilofami do odkuwania silosów lub siana ze stogów oddalonych osiem do dziesięciu kilometrów. Przyjeżdżali wieczorem, przywożąc kopkę zgniłej trawy z silosu, tzw. kiszonkę i sanie siana, co absolutnie nie wystarczało na zaspokojenie zwierzęcego głodu. Dlatego często w ciągu tygodnia wywożono padłe sztuki bydła lub koni na pożarcie wilkom jako zdechłe z powodu choroby. Sezon letnich wypasów dla wielu

tubylców, szczególnie kobiet chakaskich tak mężatek, których mężowie poszli na wojnę, jak i panien, nie mogących na miejscu znaleźć partnerów, był okresem szczególnym. Będąc na letnim wypasie, nocowały gdzie się dało. Najczęściej na strychach obór, cielętników, na sianie tam znajdującym się. Kilkanaście kilometrów dalej wzdłuż doliny znajdowały się podobne wypasy należące do innej farmy. Wieczorami na koniach przyjeżdżali młodzi Chakasi z tamtej farmy. Konie zostawiali na łące na całą noc i na tych strychach baraszkowali do rana. Rano odjeżdżali do swoich stad. Czasami po północy lub nad ranem słychać było, jak starsze Chakaski konno, nieraz po dwie na jednym koniu wracały z innej farmy lub z aułów w pobliżu mieszkających Chakasów. Jadąc podchmielone samogonem, śpiewały swoje popularne przyśpiewki, np. „aja łader pajparader aja łader ajdider”. Czasami takie związki kończyły się zakładaniem rodzin lub rozpadem. Zawieranie małżeństw polegało na tym, że para zgłaszała w kancelarii chęć pobrania się, więc wpisywano ich do rejestru i stawała się nową rodziną. I odwrotnie, nie chcąc być ze sobą bez problemu byli wykreślani jako rodzina.

Już w roku 1942 były przypadki powrotów z wojny, bądź po pobycie w szpitalu, z powodu chorób lub trwale okaleczonych. Pod koniec pierwszej połowy tego roku na przewodniczącego farmy przysłano byłego żołnierza z urwaną ręką. Poprzedniego przewodniczącego odwołano. Być może nowy przewodniczący otrzymał jeszcze inne zadanie. Fakt, że zdarzyło się w naszej rodzinie, że w dniu ósmego lipca przyjechało samochodem do farmy trzech przedstawicieli władz bezpieczeństwa. Udali się na pole, gdzie odbywały się żniwa, polecili mojemu ojcu, żeby udał się do domu i przygotował do podróży do powiatu. Oznajmili „w przypadku próby ucieczki zabierzemy żonę”. Ojciec nie wiedząc o co chodzi liczył się z tym, że po wyjaśnieniach władz powiatowych wróci do rodziny. Niestety, już nigdy nie wrócił. Pozostaliśmy bez ojca i bez jakichkolwiek wiadomości o przyczynach zatrzymania, pod opieką matki i dorastającego brata Hipolita. Do tej pory życie było ciężkie, stało się jeszcze cięższe.

Jesienią tego roku do kolchozów i sowchozów, aż do Chakasji przysyłano rodziny osób zajmujących wysokie stanowiska we władzach państwowych w Moskwie i rodziny wyższych oficerów. Do naszej farmy przysłano pięć takich rodzin. Były to kobiety z dziećmi. Jedna z rodzin miała w stanie rozłożonym rower. Do jego złożenia zabrał się mój brat Hipolit. Jakaż radość była wśród tubylców, starszych i dzieci kiedy zobaczyli, że można jeździć na dwóch kołach. Dotykali, obmacywali i prosili brata, żeby ich podwiózł, za co bardzo dziękowali. Z jedną z dziewczyn z przybyłych rodzin starszą o trzy lata zaprzyjaźniłem się. Często spędzaliśmy czas razem z innymi dziećmi. Prawdopodobnie po odstąpieniu Niemców z pod Moskwy rodziny te odjechały. Przyszła następna zima. Jak mówili starsi „chłodno, głodno i do domu daleko”. Nadszedł rok

1943. Do tej głuszy leśnej wśród gór, gdzie ani elektryczności, ani radia, ani prasy czy jakiegokolwiek wiadomości ze świata nie docierają, dotarła wreszcie wiadomość pocztą łańcuszkową. Złożyły nam wizytę dziewczęta przysłane z centrali. Tam było więcej polskich rodzin i łatwiej było o jakiegokolwiek wiadomości. Dowiedzieliśmy się, że istnieje jakiś Związek Patriotów Polskich, który stara się pomóc Polakom zesłanym w głąb Rosji i że ważną rolę odgrywa w tym związku Wanda Wasilewska.

Osoba ta była znana naszej rodzinie. Kiedy przed wojną pracując w Związku Nauczycielstwa Polskiego w Warszawie i zajmując się pisarstwem, jako starsza panna często przyjeżdżała na Pojezierze Augustowskie. Utało się powiedzenie, że odkryła augustowszczyznę dla Związku Nauczycielstwa. W tym czasie mój najstarszy brat Witold w wieku już dojrzałym był elewem w orkiestrze wojskowej w Suwałkach. Przebywając na przepustkach spędzał czas nad jeziorami, gdzie Wanda Wasilewska pływała kajakiem. Przy jakimś spotkaniu, a że był przystojnym młodzieńcem, przypadł jej do gustu. Kiedy po jego aresztowaniu w roku 1940 i wywiezieniu do obozu jak wielu innych, przyszli po resztę rodziny 20 czerwca 1941 roku, zabierając wszelkie dokumenty z kasetki, również zabrano korespondencję od Wandy Wasilewskiej do brata Witolda. Dowiedzieliśmy się, że organizuje się wojsko polskie przy boku Armii Czerwonej i że mężczyźni powyżej osiemnastego roku życia mogą wstępować do wojska.

Po krótkiej naradzie z myślą, że może tą drogą łatwiej będzie wrócić do Polski brat Hipolit pomimo swych siedemnastu lat zdecydował pójść do wojska. Wiosną 1943 roku udał się do miejsca werbunkowego, podał że ma osiemnaście lat i został przyjęty. Z pozostałą trójką synów i z chorowitą babcią pozostała nasza mama. Ciężko było ale przeżyliśmy tę zimę, a wiosną znów wędrówka na letni wypas. Znów praca i tylko praca. Kiedy ja z młodszym bratem Apolinarem byłem na wypasie przy mamie, starszy brat Szczepan pozostawał z babcią w domu. Babcia z dnia na dzień czuła się gorzej na zdrowiu. Niedożywienie, brak lekarstw i w ogóle jakiegokolwiek opieki lekarskiej spowodowało, że w sierpniu tegoż roku babcia zmarła, o czym tegoż dnia zawiadomił nas Szczepan. Przyjechaliśmy z mamą pochować babcię. Ze zdobytych kilku desek przy pomocy starszego sąsiada Rosjanina zrobiono trumnę w kształcie skrzynki. Mama przygotowała babcię do pochówku. Zdjęła z babci dotychczasową odzież i ubrała w coś lepszego, co znalazła wśród swoich nadających się rzeczy. Zdjęta bielizna z babci nie mogła być wykorzystana do niczego. Przez dwa dni po śmierci tak rozmnożyły się wszy, że mama kazała rozpalić na podwórku ognisko i wrzuciła bieliznę do ognia. Przez jakiś czas słychać było tylko trzaski zanim to wszystko się spaliło. Skrzynkę z babcią zawieźliśmy na dwukołowym wózku w towarzystwie paru osób, gdyż inni mieszkańcy znajdowali się w pracy na letnim wypasie i w brygadzie polowej, na wzgórze cementarne, wpuściliśmy do wyko-

panego przez Szczepana dołu, postawiliśmy krzyż, zmówiliśmy modlitwę. W ten sposób ubył następny członek naszej rodziny. Pozostało nas czworo mama z trzema synami. Syberyjskie lato w tym rejonie Azji z racji bogatych dóbr przyrody, których już nauczyliśmy się wykorzystywać począwszy od korzonków, bulw wszelkich roślin po jagody, orzechy cedrowe, a także ryby, ptactwo i drobną zwierzynę i w pewnej mierze ukradkiem z gospodarki sowchozowej jak mleko można było łatwiej przeżyć. Dla siebie nic nie można było uprawić czy wyhodować, choć gleba u podnóża gór była urodzajna. Na początku, kiedy jeszcze cała rodzina była w komplecie próbowaliśmy na wskazanej nam działeczce w pobliżu farmy posadzić trochę ziemniaków czy warzyw. Okazało się, żeby otrzymać jakiegokolwiek plony, trzeba by nie pracować na państwowym tylko dzień i noc pilnować. Nawet niedojrzałe rośliny były wykradane. Właścicielowi nic nie pozostawało. Dlatego w następnych latach podobnie jak tubylcy nie próbowaliśmy żadnych upraw.

Nie lepiej przedstawiała się sprawa z uprawami państwowymi. Zdarzało się, że zasiane zboża przed żniwami wskazywały na dobre plony. Od strony głównego traktu kłosa wyglądały ładnie. Kiedy zaczęły się żniwa, a żniwiarki zajeżdżały od strony rzeki czy lasu okazywało się, że na znacznym areale nie ma kłosów. Stoi tylko słoma. Do młócki lub wialni czy innego sposobu czyszczenia i magazynowania zboża choć w niewielkiej ilości dla podstawowych potrzeb farmy, ludzie wkładali luźną odzież, opinaną paskami, sznurkami i innymi podwiązkami żeby można było jak najwięcej ukradkiem wsypać ziarna gdzie się dało. Po przyjeździe do mieszkania stawało się na koc lub prześcieradło leżące na podłodze, luzowało odzież i wysypywało ukradzione ziarno. Przechowywało się na zimową porę. Ziarno męło się prymitywnymi żarnami na kaszę, mąkę, żeby mieć coś do jedzenia późną jesienią i zimą. Te prymitywne żarna to dwa klocki z drzewa nakładane jeden na drugi przy czym ich powierzchnie styku były nabijane metalowymi kawałkami z rozbitych żeliwnych garnków lub innych metalowych elementów. W środku dolnego klocka znajdował się boleć. Górny klocek w środku posiadał otwór do wsypywania ziarna a z boku rączkę do obracania tym klockiem. Górny klocek nakładało się otworem na boleć dolnego. Taki zestaw umieszczało się na prześcieradle lub innej większej szmacie rozłożonej na podłodze, siadało się tak, żeby żarna znalazły się między nogami. Do otworów wsypywało się ziarno i obracało górnym klockiem. Roztarte ziarno wysypywało się na podłożone prześcieradło jako gotowe do spożycia w postaci kaszy, a przesiane jako takiej mąki. Prymityw w tej części Azji w każdej dziedzinie wyglądał z każdego kąta, a dawał się we znaki szczególnie zimą, kiedy ludzie zmuszeni byli szukać sposobu przeżycia każdego następnego dnia. Pomimo znacznych bogactw naturalnych z braku warsztatów rzemieślniczych oprócz kuźni, gdzie kowal stawał się największym bohaterem pracy, gdyż musiał podolać wszelkim naprawom sprzętu rolniczego,



transportowego itp. ludzie musieli sami zadbać o swój codzienny byt. Trudno Europejczycy wyobrazić żeby np. sanie nie miały ani jednej części metalowej. Wszystko było z drewna. Łączone drewnem, wiązane parzoną skręcaną wikliną. Wozy konne też drewniane, osie kół drewniane, koła drewniane tylko obręcze metalowe wykonane przez kowala. Uprząż dla koni z lin plecionych z łyka konopnego. Plantacja konopi znajdowała się w pobliżu farmy. Jarzma dla wołów też drewniane. Widły, grabie wyłącznie drewniane. W sprzęcie gospodarstwa domowego oprócz garnków – „czigunów” i noży wszystko z drewna i z kory; miski, łyżki, kubki, „dzieżyczki” i inne pojemniki. Letnie obuwie z łyka lipowego, a zimowe ze skór zwierzęcych. Najczęściej od wiosny do jesieni chodziło się boso. Przypalanie papierosa skręta odbywało się przy pomocy dwóch kawałków krzemienia i hubki, gdzie iskra padająca z krzemienia uderzającego jeden o drugi na odpowiednio spreparowaną hubkę powodowała jej tlenie się i umożliwiała wydobycie ognia.

Mieszkające starsze małżeństwo prawdopodobnie pochodzenia czerkieskiego zamieszkiwało w domu z wikliny przy czym częścią nadziemną był wiklinowy szałas i służył do zamieszkania latem, a w ziemi piwnica służyła jako mieszkanie zimą. Innym prymitywem w życiu gospodarczym było to, że powybijane szklane szyby w oknach obór zimą zastępowane były szybami z lodu. Polegało to na tym, że wyjmowano ramy okienne bez szyb, wkładano do przerębli w rzece wieczorem, rano wyjmowano, równo obcinano lód i wstawiano w okna obór. Chroniło to zwierzęta przed chłodem, śniegiem, wiatrem, dawało jako takie światło od początku do końca zimy. Można w tym względzie wyrobić sobie wyobraźnię o klimacie tego regionu. Porą zimową dzieci organizowały zabawy na powietrzu pomimo silnych mrozów. Okutani w łachmany i jako takie obuwie, najczęściej walonki, do których przymocowywali drewniane łyżwy podkute drutem, grali w hokeja na drodze lub rzece. Za kije hokejowe służyły kije wiklinowe na końcach powyginane a za krążek zmrożone końskie łajno w kształcie kulki. Narty wykonywano z drzew liściastych. Najpierw urabiano z nich deski, których końce parzyli we wrzątku i wyginali. Upodobniali do nart. Podobnie wyrabiane były sanki bez jakiegokolwiek kawałka metalu. Czasu na naukę nie musieli poświęcać, nie było żadnej nauki. Prawdopodobnie był pracownik o przygotowaniu nauczyciela, ale był zatrudniony jako księgowy. Nie było też na czym i czym pisać. Żeby napisać list, atrament robiono z sadzy kominowej dodając jakieś soki roślinne. Za papier służyły wyrywane ze starych książek kartki i pisano między wierszami.

Pomimo sąsiedztwa i styczności w życiu codziennym naszych rodzin dochodziło do tego, że polskie dzieci między sobą zaczynały rozmawiać po rosyjsku. Kończyło się to najczęściej szturchańcem od matek lub ścierką kuchenną po głowie. Rozeszła się wiadomość, że do farmy przyjedzie kino. Zapanowała wielka radość. Przyjechali „filmowcy”. Ustawili

aparaturę w świetlicy, zebrali się widzowie, rozpoczął się seans. Jakaż była radość kiedy na ścianie ujrzano ludzi z epoki kamiennej poruszających się. Nieme kino. Po kilku scenach skwitowanych wrzawą urwała się korba poruszająca napęd aparatury. Seans przełożono na następny dzień. Kowal miał dorobić korbę. Okazało się, że nie było takiego materiału i „filmowcy” odjechali. Zimową porą oprócz chłodu i głodu dawały się we znaki wszelkie gryzonie, insekty, a w rezultacie z niedożywienia i braku higieny choroby przeobrażające się w epidemię. Pamiętam takie zdarzenie kiedy jeszcze mieszkaliśmy całą czwórką w małej ciasnej izbie. Kiedy mama przed świtem poszła do pracy przy cieletach a my w trójkę zostaliśmy śpiący w domu obudził nas w izbie rumor. Kiedy przetarliśmy ze snu oczy, ujrzeliśmy biegające po izbie szczury wielkości podrastającego kocięcia. Najstarszy z nas Szczepan chwycił stojący obok postania but i próbował je unicestwić. Drzwiczki od pieca były otwarte jeden szczur wskoczył do pieca, drugi przez murek oddzielający piec od ściany i zniknął. Widocznie tam była dziura w podłodze. Ten co skoczył do pieca prawdopodobnie uciekł kominem. Innym razem, kiedy mieszkaliśmy we dwie rodziny w jednej większej izbie razem siedem osób, część domowników spała na podłodze na rozłożonej wiązce słomy, w nocy szczury próbowały ogryźć palce u nóg. Kończyło się to przebudzeniem i przerażeniem poszkodowanych. Innym groźnym zjawiskiem było masowe występowanie pluskiew w przetykanych mchem ścianach i przechodzących nocą do pościeli. Pomimo walki z nimi za pomocą nafty, przypalania ogniem, wciąż były dokuczliwe wprost nie do wytrzymania. Podobnie dawały się we znaki karaluchy, których miejscem występowania były zakamarki pieca kuchennego.

Dla utrzymania higieny ciała i bielizny nie wystarczała gorąca woda. Brak było mydła. Pojawiła się choroba zwana świerzem. Do walki z tą chorobą kobiety próbowały domowym sposobem wytwarzać jakieś mazidła, wykorzystując kurze łajno z dodatkiem dziegciu. Z braku witamin po okresie zimy ludzie odczuwali chorobę oczu zwaną kurzą ślepotą. Objawiała się bólem i ropieniem oczu, uniemożliwiała rozpoznawanie, brak widzenia, szczególnie w dni słoneczne. Nagminne było pojawianie się na ciele ropnych czyraków. Po jednym z takich do dnia dzisiejszego mam na lewym udzie rozległą bliznę. Jednej zimy, chyba z roku 1944/45 wystąpiła epidemia tyfusu. Choroba ta w większym lub mniejszym stopniu objęła wszystkich. Twierdzi się, że choroba ta jest przenoszona z jednej osoby chorej na inną zdrową przez wszy, toteż wszyscy, poczynając od dzieci po najstarsze osoby, mężczyźni i kobiety mieli ostrzyżone głowy. Tych, którzy mieli wysoką temperaturę ulokowano w izolatce zorganizowanej w świetlicy. Z centrali przyjeżdżała lekarka, dawała jakieś lekarstwa co do pewnego stopnia skutkowało. W tej jednej, dużej izbie znajdowali się wszyscy chorzy bez względu na wiek i płeć. Trudno mi zapomnieć siedzącej na wiadrze Chakaski, panny na wy-

daniu, trzymającej w obu rękach pajdę chleba, przyniesioną przez rodzica. Kiedy gorączka ustąpiła, poczułem się lepiej i wróciłem do domu, pamiętam jak mama miała postrzyżoną głowę i ledwo trzymała się na nogach. Nie mogła sama, jak zwykle przed świtem wyjść do pracy, a tu stukanie w okno. Brygadzystka woła: Władysława, wychodzi w robotu, cielata karmić. Mama poszła do pracy.

Często zdarzało się, że ja przychodziłem do cielętnika, gdzie mama pracowała i pomagałem uprzętać klatki cielęce. Tym razem także poszedłem, tylko nieco później. Okazało się, że w samą porę. Tuż przed moim przyjściem mama zemdlła i upadła na podłogę klatki, w której były cielęta. Zemdloną, wyciągnąłem z klatki na korytarz w miejsce, gdzie była lepsza wentylacja i doprowadziłem do orzeźwienia. To wydarzenie mama mi przypominała przez długie lata. Zdarzały się też przypadki zachorowań na malarię, którą przeszedł również brat Szczepan. W takich warunkach życia codziennego najtrudniej było przetrwać okres zimowy, a takich zim za sobą mieliśmy kilka i ciągle myśleliśmy, że każda następna będzie ostatnia i ciągle myliliśmy się. Odzież, w której przywieziono nas z Polski została przechodzona. Pomimo łatania czym się dało rwała się. W miarę dorastania stawała się za ciasna. Na uszycie nowej nie było materiału. Pamiętam, kiedy nie miałem już w czym chodzić, mama uszyła mi krótkie spodni z worka po soli dla zwierząt. Nie mając majtek pod spodem, nie było to wygodne do noszenia, ale nie było innego wyjścia, trzeba było w nich chodzić do końca lata. Trudno przewidzieć, co by z nami było dalej, gdyby nie to, że zaczęła do nas docierać pomoc tzw. UNRA. Były to paczki z żywnością; konserwy mięsne, rybne, kondensowane mleko w puszkach, sproszkowany groch, cukier, sól, czasami tytoń, jak się później okazało bardzo ważny artykuł, choć w rodzinie nikt nie palił. Czasami były paczki z odzieżą, co podratowało nasze już prawie gołe ciała. Coś, co nie pasowało dla nas, można było przehandlować. Paczki te docierały do nas pocztą łańcuskową. Najpierw docierały do centrali, gdzie było więcej polskich rodzin, a stamtąd do nas przynosiły odważne dziewczyny, pokonując kilkunasto lub kilkudziesięciokilometrową górską drogę. Pamiętam, jaką serdecznością były obdarowywane przez nasze mamy. Inne rodziny rosyjskie, czy chakaskie nam zazdrościły, ale czym mogliśmy, to dzieliliśmy się z nimi.

Za tytoń brat Szczepan, choć zaledwie w wieku czternastu, szesnastu lat wypożyczał od myśliwych strzelby, proch, ołów do wyrabiania śrutu i próbował coś upolować, co mu się czasem udawało. Zimą ptaszki, a latem nawet dzikie kaczki. Z frontu zaczęły docierać wiadomości, bądź to listowne, bądź z centrali poprzez łączniczki, które przynosiły paczki a zarazem wiadomości. Czasami przez wracających rannych, którzy wyszli ze szpitali i skierowani do rodzin na rekonwalescencję. Były to wiadomości pomyślne, że „germaniec” się cofa, że tu i ówdzie ponosi klęski. Otrzymywaliśmy również listy od brata Hipolita, z których cieszyliśmy

się, że jest żywy i zdrowy. Jedyne dziecko wśród ośmioosobowej rodziny Falickich, Janek w wieku osiemnastu lat, wiosną 1944 roku również poszedł do wojska. Początkowo listy przychodziły od Hipolita częściej, a w nich wiadomości, że armia radziecka i wojsko polskie zbliżają się do granic Polski. Radowaliśmy się wszyscy i żyliśmy nadzieją na lepsze zmiany. Zdarzały się duże przerwy w korespondencji i wówczas przychodziły różne niedobre myśli, czy brat żyje, czy zginął, że listu tak długo nie ma. Pewnego razu, pod koniec lata, będąc na letnim wypasie, a było to w 1944 roku, długo nie było listu. Mama siedząc przy ognisku rozmyślała nad tym faktem i zwierzyła się nam, że w nocy miała zły sen. Zaczęła płakać a z mamą i my wszyscy. Inne kobiety pytały dlaczego my płacemy, skoro ogólnie wiadomo, że „germaniec” się cofa i wojna zbliża się ku końcowi. Trudno nam było wytłumaczyć. Po pewnym czasie otrzymaliśmy list od Hipolita, że był ciężko ranny, przebywał w szpitalu, że wkrótce ze szpitala wyjdzie. Ulżyło to mamie i nam wszystkim.

Wreszcie w maju 1945 roku dotarła wiadomość, że „germaniec” pobity i że wojna skończona. Zaczęli wracać z wojny mężowie i bracia rodzin tubylców. Jedni cali i zdrowi, inni inwalidzi. Z odznaczeniami, medalami, z walizkami wypełnionymi zdobyczym towarem. Częściami odzieży, obuwiem, zegarkami itp. Opowiadali o zniszczeniach wojennych, ale i o bogactwie i życiu w krajach, które przemierzali. Zaczęły docierać do nas broszury o obozach koncentracyjnych z obrazami komór gazowych, pieców do spalania zwłok ludzkich. O masowych grobach i innych zbrodniach popełnianych przez faszystów niemieckich. Niektórzy byli tym bardzo poruszeni, inni uważali to za propagandę. Nam, Polakom, nie było końca wojny. Życie toczyło się tak, jak dotąd. Wciąż zadawaliśmy pytanie, kiedy nas zwolnią z tego syberyjskiego obozu pracy, czy w ogóle wrócimy do Polski, czy przyjdzie nam umrzeć na obcej obcej ziemi. Minęło lato i nadeszła zima z roku 1945/46. zaczęły do nas docierać nieoficjalne wiadomości o możliwości powrotu do Polski. Wreszcie, pod koniec lutego tegoż 1946 roku, otrzymaliśmy oficjalną wiadomość o powrocie. Załatwianie formalności przez mamę zajęło wiele czasu, zanim zostaliśmy ujęci na listę do powrotu do Polski tak naszej jak i pozostałych dwóch polskich rodzin.

### **Powrót do Polski**

Termin odjazdu naszych polskich rodzin wyznaczono na koniec pierwszej połowy marca. Zaczęło się oczekiwane przygotowanie. Wymieniano coś, co z paczek UNRY jeszcze zostało, na to, co może być przydatne w podróży. Przygotowywano coś do jedzenia. Z chleba robiono suchary i napełniano powłoczki z poduszek, a nawet suche prażone ziarno zbóż, nie wiedząc jak długo będzie trwała podróż po zniszczonej wojną ziemi rosyjskiej i polskiej.

W połowie marca podstawiono pod dom, w którym mieszkały wszystkie trzy rodziny troje sań o zaprzęgu konnym, wymoszczonych słomą i sianem. Zaczęliśmy się usadawiać. Ponieważ zima jeszcze mocno trzymała, każdy był opatulony w co było możliwe. Na nogach z dziurawych walonków wystawała słoma. Na pożegnanie nas wyszli wszyscy mieszkańcy sowchozu. Ze łzami w oczach, z płaczem tulili nas, mówiąc: „Wam jeszcze słońce swobody zaświeci, nam przyjdzie tu zdechnąć”. Z płaczem też żegnaliśmy tych nieszczęśników, ze wzruszenia i radości, że wreszcie wracamy i z litości nad tymi, z którymi przez prawie pięć lat dzieliliśmy nasz los. Odległość do Polski wynosiła ponad 6000 kilometrów, do stacji kolejowej w Abakanie 200 kilometrów, zatem najpierw wieziono nas w zaprzęgach konnych do miasta powiatowego Askiz, odległego nieco ponad 60 kilometrów. Mijaliśmy sowchozy, nocowaliśmy w kołchozach, które dawniej były większymi wioskami chakaskimi. Zatrzymywaliśmy się na odpoczynek dla koni i nocleg dla nas i woźniców. W spotykanych chatach bieda, jak wszędzie. Smutne, przygnębione oblicza ludzkie. Pomimo widocznych ludowych instrumentów muzycznych „czathanów”, bałajek itp. nie było słychać dźwięków muzyki, chyba że na naszą prośbę. Po trudnych, zaśnieżonych traktach, niby drogach, po dwóch czy trzech dniach dowieziono nas do Askizu, gdzie przesiedliśmy się na samochody ciężarowe, zabierając inne polskie rodziny tam oczekujące powrotu. Jechaliśmy do Abakanu. Wieziono dniem. Noclegi organizowano w mijanych miasteczkach lub większych wsiach, o czym świadczyły spotykane w rynkach budowle w kształcie cerkiewek o pozabijanych deskami oknami, widocznie przeznaczonych na magazyny zbożowe.

Po kolejnych dwóch dniach znaleźliśmy się przed składem dobrze nam znanych wagonów kolejowych, stojących wysoko na rampie. Już bez nadzoru władz bezpieczeństwa, tylko cywilnych władz porządkowych. Zajęliśmy wskazane nam wagony według listy nazwisk rodzin. Transport przygotowywano do podróży. Zanim to nastąpiło były spotkania znajomych rodzin przywiezionych do tych syberyjskich obozów pracy przed pięcioma laty. Do wagonów podjeżdżały po tej zimowej, śnieżnej, stepowej równinie, obserwowane z wysokiego nasypu psy zaprzęgi sań, na których gospodarze przywozili produkty rolne do wymiany. Były to sery z owczego lub koziego mleka, pieczona lub gotowana baranina, „lepieszki” i inne bliny. Wymieniali za ostatnie koce, prześcieradła, chustki, szale jakie jeszcze ktoś miał do zbycia. Po załadunku wciąż dowożonych rodzin, po dwóch czy trzech dniach transport ruszył. Tym razem nie czerwcowo lipcowy upał dokuczał, lecz marcowy chłód zmuszał do ścieśniania się na pryczach i utrzymywania żaru w piecyku w wagonie. Okienka już nie były kratowane, drzwi nie ryglowane. Jechaliśmy dniem i nocą w stronę Europy, do Polski. Na azjatyckiej części Rosji znowu od czasu do czasu spotykaliśmy jakieś osady, w których domostwa w połowie mieściły się w ziemi, w połowie nad ziemią. Z niektórych dym wydostawał się znad samej warstwy śniegu. Na postojach, przy

miastach przygotowywano posiłki, po które do kuchni dworcowych osoby wyznaczone chodziły z wiadrami po zupę, gotowaną wodę i chleb. Im bliżej Europy, szczególnie na stacjach miast europejskich pociąg stał dłużej z powodu konieczności przepuszczania po tymże torze pociągów jadących z zachodu Europy w głąb Rosji. Transporty te wiozły zdobyczne bogactwo z krajów, przez które przechodziła armia radziecka w pogoni za cofającymi się Niemcami. Pola w pobliżu stacji kolejowych były zalane wszelkim sprzętem nadającym się do użytku bezpośrednio i takim, który mógłby przydać się w nowobudowanych zakładach czy fabrykach. Dlatego postoje na kolejnych stacjach przedłużały się częściej. Mielśmy możliwość spotykać się z ludźmi, rozmawiać, gdyż już dobrze znaliśmy język rosyjski. Wchodzili do naszych wagonów radzieccy oficerowie, wracający z zachodu. Opowiadali o swoich przeżyciach wojennych i o tym, co zobaczymy po dotarciu do Polski.

Oprócz ogromnych zniszczeń miast i osiedli, które spotykaliśmy na trasie, na ulicach widzieliśmy dużo inwalidów o kulach, bez jednej nogi, urwanej ręki lub dwóch, również turlających się bez nóg na deskach zaopatrzonych w kółka. Stwarzało to ogromne wrażenie i strach przed tym, co nas czeka.

Zaświadczenie z Państwowego Archiwum Krasnojarskiego Kraju  
potwierdzające deportację rodziny Skirgajłów na zesłanie.

wreszcie dowieziono nas do nowej wschodniej granicy Polski, do stacji Brześć. Po przestawieniu wagonów na inne tory, po sprawdzeniu dokumentów i miejscowości dowiezienia rodzin w poszczególnych wagonach, powieziono nas przez Siedlce do Białegostoku. W Białymstoku zaopiekował się nami PUR czyli Państwowy Urząd Repatriacyjny. Znaleźliśmy się w jakichś większych salach i oczekiwaliśmy na transport do swoich miejscowości z nadzieją, że zastaniemy swoje domy, gospodarstwa, w których zamieszkamy. Na transport do Augustowa czekaliśmy trzy dni. Wreszcie tuż po południu mama otrzymała wiadomość, że do Augustowa będzie jechał samochód ciężarowy i mogą zabrać się augustowiaczy. Wraz z dwiema innymi rodzinami z dzielnicy Limanowskiego, w czasie okupacji radzieckiej Posiołka Stalina, załadowaliśmy się na samochód ciężarowy bez przykrycia, opatuleni jak na saniach w sowchozie. W chłodne, kwietniowe popołudnie wyruszyliśmy do rodzinnego Augustowa odległego około 100 kilometrów.

Informacja o śmierci Klemensa Skirgajło, syna Aleksandra  
wystawiona przez Państwowe Archiwum Krasnojarskiego Kraju.

DO TYNKU W AUGUSTOWIE DOJECHANISMY JUŻ O ZIMIECZHU. SAMOCHODU zatrzymał się, kierowca wyszedł zapytać, gdzie ma dowieść poszczególne rodziny. Wtem na platformę samochodu wskoczył żołnierz w polskim mundurze z kilkoma rzędami medali, nad którymi widniały cztery małe

gwiazdeczki, świadczące o czterokrotnym odniesieniu ran. Chwycił mamę w ramiona, siarczyście ucałował i uściskał, rozglądając się po kątach platformy, szukając reszty rodziny do przywitania. Był to nasz brat Hipolit. Pełniąc obowiązki w Komendzie miasta w dolnośląskim miasteczku Chocianów, wiedząc że wracają rodziny z Syberii, wziął przepustkę i przyjechał do Augustowa sprawdzić, czy dom stoi i czy przypadkiem nie wróciła rodzina. Akurat tego dnia spotkaliśmy się z bratem. Radość była wielka. Po przywitaniu wszedł do kabiny kierowcy i kazał wieźć pod dom. Dom był zamknięty na kłódkę, a klucz miał nieopodal mieszkający sąsiad, mój chrzestny. Po wejściu do mieszkania nie zastaliśmy ani jednego mebla. Ulokowaliśmy się na gołej podłodze, a sąsiad przyniósł wiązkę słomy i to było nasze posłanie na nocleg we własnym domu. Przed ułożeniem się do spania, sąsiedzi przynosili nam coś ciepłego do jedzenia, a sąsiad z kilku desek zrobił stół na krzyżowych nogach. Następnego dnia mama z Hipolitem dokonali naszego meldunku w urzędzie miasta z datą 11 kwietnia 1946 roku. Przy pomocy darowizn UNRY znajdujących się w zasobach urzędu miasta, pomocy sąsiadów, rozpoczęło się nasze życie w domu, w Polsce na ziemi augustowskiej. Hipolit musiał wrócić do miejsca służby, obiecując, że być może załatwi coś na ziemiach odzyskanych.

Dochodziła druga połowa maja. Rozpoczęliśmy prace ogrodnicze przy domu. W niedzielę mama z najmłodszym synem Apolinarym, tuż przed południem wracała z kościoła, za którym tęskniła przez lata usłyszała za plecami rytmiczne męskie kroki coraz zbliżające się. Obejrzała do tyłu i zamarła na chwilę ujrzawszy obu synów. Wojskowego Hipolita i cywila, najstarszego syna Witolda, o którym od czerwca 1940 roku nie mieliśmy żadnej wiadomości. Znów przywitanie na ulicy, płacz z radości. W domu to samo przy spotkaniu wszystkich braci. Z ośmioosobowej rodziny zabrakło babci, którą pochowaliśmy na Syberii i ojca, o którym po aresztowaniu nie mieliśmy żadnej wiadomości, aż do rozpadu Związku Radzieckiego, kiedy po roku 1991 z Archiwum Krasnojarskiego Kraju otrzymałem pełną odpowiedź, że po pół roku od aresztowania w lipcu 1942, w styczniu 1943 był skazany przed sąd ze słynnego artykułu 58 na dziesięć lat obozu poprawczego, a w lipcu tegoż roku zmarł w więzieniu nr 3 w mieście Minusińsk. Spotkanie braci Hipolita z Witoldem miało następujący przebieg: Hipolit pełniąc służbę w komendzie miasta Chocianów miał wgląd do list osób wracających z Syberii i ziem pozostałych za nową granicą wschodnią Polski na osiedlenie na ziemiach odzyskanych. Przypadkowo natrafił na nasze nazwisko i imię Witolda. Udał się do miejsca zamieszkania i tu nastąpiło spotkanie. Witold wrócił z Syberii, gdzie po amnestii 1941 roku znalazł się w Omsku. Spotkał się z kobietą, polką i pozostał do maja 1946 roku, a w maju wraz z innymi polskimi rodzinami znalazł się na ziemiach odzyskanych. Zajął w Chocianowie poniemieckie mieszkanie, gdzie oboje zamieszkali. Szykował się do poszukiwania rodziny, w czym pomógł mu młodszy brat Hipolit, żołnierz



czterokrotnie ranny, siedemnastokrotnie odznaczony medalami wojennymi, w tym i Krzyżem *Virtuti Militari*.

W czasie kiedy kończę swoje wspomnienia z całej mojej rodziny przy życiu zostałem sam. Tak w krótkim opisie wyglądają przeżycia moje i moich bliskich na zesłańczej Syberii. W natłoku wspomnień wiem, że pominąłem wiele szczegółów. Choćby to, jak ważną rolę odgrywała wśród dorosłych mężczyzn jedyna brzytwa, przywieziona przez sąsiada Falickiego, czy maszynka do mięsa, która wywierała podziw u tubylców, podczas mielenia zmarzniętych przegotowanych ziemniaków. Także to, jak górską rzeczka w lecie stanowiła miejsce do przechowywania uwiązane na drucie mięsa z opatroszonego psa. Odcinane kawałki mięsa przeznaczone były na posiłek i lekarstwo do walki z gruźlicą. Można by jeszcze wiele faktów przytaczać z tego, jak to nazwałem sybirskiego obozu pracy na ziemi chakaskiej wielkiego Kraju Rad. Ja postanowiłem na tym zakończyć opis moich syberyjskich zielonych lat.<sup>1</sup>

\*\*\*

### **Posłowie**

Współcześnie Chakasja już nie jest „oblastją”, czyli województwem. Od roku 1991 jest Republiką ze stolicą miastem Abakan w składzie Federacji Rosyjskiej. Ludność Chakasji liczy 581,2 tys. osób ze 108 narodowości. W tej liczbie Rosjanie stanowią 79,5%, Chakasi 11,1%, Ukraińcy 2,3%, Niemcy 2%. Resztę pozostałe narodowości, wśród nich wielu Polaków z zesłań lat czterdziestych ubiegłego wieku, którym nie dane było wrócić do Polski, oraz pochodzenia polskiego z okresu Rosji carskiej.

Samych Chakasów w granicach Republiki jest 57 tys., a poza granicami doliczono się 12 tys. W miastach żyje 413,2 tys., we wsiach 168 tys. O dawnej świetności państwa chakaskiego świadczą wykopaliska archeologiczne z kurhanów, które występują w różnych miejscowościach, a najwięcej w tzw. „Dolinie Cesarzy”.

Polacy i ludność pochodzenia polskiego podobnie jak w wielu innych rejonach Rosji, tak i w Chakasji zorganizowali się i założyli w 1993 r. organizację

<sup>1</sup> Autor tych wspomnień urodził się 7 kwietnia 1935 r. w Augustowie. Jako 6-latek w czerwcu 1941 r. z całą rodziną deportowany został na Syberię – do Krasnojarskiego Kraju Chakaskiej Oblaści Askizkiego Rejonu. Całą rodzinę osiedlono w kołchozie, następnie w sowchozie. W lipcu 1942 r. ojciec autora został aresztowany a o jego losach dowiedział się on dopiero w latach 90. XX wieku. Z dokumentu wystawionego przez Archiwum Krasnojarskiego Kraju wynika, że Klemens Skirgajło, ojciec autora został skazany z art. 58 na 10 lat obozu poprawczego. W lipcu 1943 r. zmarł w więzieniu nr 3 w Minusinsku. Po zakończeniu wojny autor wrócił do kraju w kwietniu 1946 r. ukończył szkołę podstawową a następnie średnią techniczną. Przez 30 lat pełnił służbę w Wojsku Polskim, m.in. jako wykładowca Wyższej Szkoły Lotniczej w Dęblinie. W roku 1989 jako oficer bezpartyjny nie mogący pozostawać na zajmowanym stanowisku został przedterminowo zwolniony do rezerwy. Ukończył zaoczne studia na Wydziale Geografii UMCS (Lublin). Od roku 1991 członek Związku Sybiraków, a od roku 2006 prezes Oddziału w Puławach.

„Polonia”. Organizacja ta prowadzi szeroką działalność kulturalną i oświatową wśród społeczności polskiej. Wydaje pismo kwartalnik „Rodacy” i utrzymuje ścisły kontakt z Macierzą.

